Meksyk, Gwatemala, Honduras



Chichicastenango

Ameryka Łacińska, Hiszpania i Portugalia oczami polskiego iberysty

Dziennik z podróży ukazuje się w drugi czwartek miesiąca

Zygmunt Wojski

Mniej więcej w połowie stycznia 1994 leciałem z lotniska Tegel w Berlinie przez Londyn do **Meksyku**. W Londynie na lotnisku Heathrow czekał na mnie Roger. Rozmowa była dość krótka, bo godzinę później odlatywał mój samolot. Po dziesięciu godzinach lotu wylądowałem w stolicy Meksyku, gdzie czekali na mnie ojciec i brat Roberta Orozco, Meksykanina, który ożenił się z moją byłą studentką, Danutą Pietruszką. Zamieszkałem w ich małym domku w **Ecatepec de Morelos,** w stanie Meksyk, bardzo daleko od centrum stolicy. Miasteczko zamieszkują ludzie ubodzy. Na ulicach fruwają ogromne ilości śmieci i nikt tego nigdy nie sprząta. Do centrum stolicy najpierw jechało się autobusem do ostatniej stacji metra, a potem metrem. Podróż trwała ponad godzinę i pamiętam, że na początku moi gospodarze nie chcieli mnie puścić samego i chyba pierwszy raz ktoś mi towarzyszył w tej podróży. Potem jednak zorientowali się, że radzę sobie nieźle i już jeździłem sam. Ale te podróże były

dla mnie zawsze bardzo męczącymi wyprawami. Na ogół w metrze był niebywały tłok.

Państwo Orozco zwolnili dla mnie jeden pokoik. Pan Enrique i jego dwaj synowie spali na podłodze w kuchni. Cała rodzina była gościnna i serdeczna. Fakt, że przywiozłem dla nich od Roberta i Danuty sporo różnych prezentów, więc traktowali mnie jak swojego. W **Meksyku** musiałem czekać około tygodnia na wizę gwatemalską. **Miasto Meksyk** już znałem, ale chodziłem trochę po centrum, zaglądałem do kościołów i pałaców, a nawet zwiedziłem dokładnie pałac w Chapultepec. Pod koniec umówiłem się z moją znajomą sprzed siedemnastu lat, Velią, w restauracji magazynu Sanborns, w Domu pod Kafelkami (*Casa de los Azulejos*), przy ulicy Madero. Mój Boże! Jak to dziewczę się zmieniło po latach! Wyszła za mąż za jakiegoś Gruzina. Gdy jej powiedziałem, że wkrótce pojadę do miasta **Zacatecas** na północy, rzekła, że César López, przyjaciel Jorgego Herrero, Kubańczyk, którego dobrze znałem, uczy gry na fortepianie w szkole muzycznej właśnie w **Zacatecas**… Nie miała jednak jego adresu.



Zacatecas. Katedra.

Tymczasem stwierdziłem, że powietrze w stolicy **Meksyku** jest nie do zniesienia: było po prostu granatowe od spalin, nie do oddychania. W poszukiwaniu nieco lepszej atmosfery wybrałem się któregoś dnia do odległej od centrum dzielnicy **Coyoacán**. Było to kiedyś dalekie willowe przedmieście, gdzie nadal były ogrody wokół domów. Mieszkał tam **Trocki**, a także małżeństwo malarzy, **Diego Rivera i Frida Kahlo**. Niestety, teraz powietrze tam niemal równie zatrute, co w centrum. Jeden z braci Roberta polecił mi miasto **Pachuca**, 90 km od stolicy, stolicę stanu

Hidalgo i dawny ośrodek wydobycia srebra i złota. Zachowały się kolonialne budynki Kas Królewskich (*Cajas Reales*), klasztoru Św. Franciszka z XVI oraz kaplicy Matki Boskiej Wniebowzięcia (*Capilla de la Asunción*), XVIII. Także dziewiętnastowieczny budynek Muzeum Górnictwa i słynny Monumentalny Zegar, a właściwie wieża zegarowa, symbol miasta, wybudowana w stulecie niepodległości w 1910. W drodze powrotnej na jakimś skrzyżowaniu dróg zakupiłem na straganie powszechnie tu noszony przez panów biały kapelusz z dość szerokim rondem. Sprzedawca miał tylko kawałek odłupanego lustra i gdy się w nim przeglądałem, zawołał śmiejąc się: „Teraz nie oprze się panu żadna kobita!”

Na drogę do odległego o 622 km od stolicy **Zacatecas** pani Orozco dała mi wyborne kanapki z zieloną ostrą papryką. Jechałem autobusem całą noc i gdy o szarym świcie znalazłem się w mieście, zziębnięty poszedłem pieszo do centrum, wypiłem kawę i zacząłem szukać szkoły muzycznej. Miasto położone jest na wysokości 2.444 m i w nocy, a także nad ranem jest naprawdę zimno. Zresztą średnia temperatura wynosi tylko 12 stopni. Gdy znalazłem szkołę, okazało się, że tak rano nie ma tam nikogo. Portier przyszedł godzinę później i dał mi telefon dyrektora, a ten był uprzejmy dać mi telefon Césara Lópeza. Z kawiarni zatelefonowałem do niego i oto czego się dowiaduję: Jorge Herrero też tam jest! Najpierw nie zrozumiałem i mówię: „Tak, jestem przyjacielem Jorgego”, na co César powtarza: “Ale Jorge

też tu jest”. Tak czy owak umówiliśmy się w tej kawiarni i za półtorej godziny przyszli obaj i Jorge do mnie po polsku: „Dzień dobry! A co pan tu robi?” Radość była ogromna. Wieczorem byłem u niego na kolacji w jego malusieńkim mieszkanku, a nazajutrz pojechaliśmy razem do **Guadalupe** zwiedzić tamtejszy klasztor i pinakotekę.

Po odjeździe Jorgego i Césara zacząłem oglądać to pełne zabytków kolonialnych miasto. Konkwistadorzy hiszpańscy szybko odkryli tam ogromne pokłady srebra i miasto stało się jednym z największych ośrodków wydobywczych tego metalu. Bardzo szybko się wzbogaciło i stąd taka rozmaitość kolonialnych zabytków. Przede wszystkim niezwykła, wielka katedra z XVIII w stylu *churriguerесco*, z różowego kamienia, o dwóch wysokich wieżach i wspaniałej, niezwykle bogato zdobionej fasadzie, z posągami apostołów w niszach. Dalej, kościół Św. Dominika o ciekawych barokowych ołtarzach. Częściowo w ruinie kościół Św. Franciszka z XVI i na wzgórzu la Bufa, świątynia Patronki Zacatecas z XVIII, *Nuestra Señora del Patrocinio*. Wszystkie kościoły są z pięknego różowego kamienia, tak samo Kolegium Apostolskie i świątynia Matki Boskiej Guadalupe, XVIII. W Kolegium jedna z największych pinakotek wicekrólewskich w Meksyku, w tym obrazy Miguela Cabrery (1695 – 1768), między innymi „Hołd Zakonu Franciszkanów dla Matki Boskiej Guadalupe”. Przy Placu Broni kolonialny pałac z XVIII, dawniej siedziba jednego z najbogatszych rodów w

mieście, a od 1831 mieści się tam zarząd stanu **Zacatecas**.

Po powrocie do stolicy odebrałem wizę gwatemalską i odleciałem do **Gwatemali**. Gdy znalazłem się na tamtejszym lotnisku miałem dylemat: czy telefonować do konsula honorowego Polski, pana Adama Prauna-Tarnawskiego, czy do polskiego księdza. Oba telefony dostałem w Ambasadzie Meksyku w Warszawie od pewnego Gwatemalczyka, znajomego Elżbietki Tregerówny. Nie wiem, co mnie oświeciło, ale zatelefonowałem do pana Adama. Poprosił, abym zatelefonował ponownie za piętnaście minut. Gdy to zrobiłem, dowiedziałem się, że zaraz po mnie przyjedzie. Zawiózł mnie do siebie i zamieszkałem tam w pięknej, otoczonej ogrodem willi „Danuta" (tak ma na imię jego żona). Przez cały pobyt służył mi pomocą nie tylko on, ale też jedna z jego córek, zaangażowana przez ojca do współpracy podczas mojego pobytu.



Antigua. Ruina kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel.

Zaraz po przyjeździe nawiązaliśmy kontakt z Instytutem Kultury Hispanistycznej i z Uniwersytetem im. Francisca Marroquína, aby ustalić daty moich wykładów. Trochę poznałem, głównie z samochodu, stolicę: Narodowy Pałac Kultury, katedrę i wyjechałem z kierowcą pana Adama, młodym Indianinem

Cakchiquelem, najpierw do **Antigua**, dawnej stolicy **Gwatemali**, zniszczonej głównie przez trzęsienie ziemi w 1773. Znajduje się około 40 km na zachód od obecnej. Zachowały się wspaniałe ruiny klasztoru Kapucynek, kościoła Św. Franciszka (brak wieży z prawej strony), kościoła i klasztoru Matki Boskiej Łaskawej, kościoła Matki Boskiej z Góry Karmel (*Carmen*)... Stoją zachowane w całości kościół Szkoły Chrystusa z XVII, katedra Św. Józefa z XVII (częściowo w ruinie), Pałac Kapitanów Generalnych i wiele innych wspaniałych budowli z okresu kolonialnego, w tym jeden z najstarszych uniwersytetów w Ameryce, *Universidad de San Carlos*, 1676, z arkadowym dziedzińcem o masywnych filarach. Przed zniszczeniem to miasto rywalizowało z najwspanialszymi ośrodkami architektury w Nowym Świecie: **Meksykiem, Limą, Pueblą, Quito i Potosí**, a i w tej chwili spacer po mieście jest ogromną przyjemnością, bo oprócz malowniczych ruin jest tam nadal wiele pięknych budowli, które uniknęły zniszczeń. **Antigua** leży u stóp potężnego **wulkanu Agua**, 3760 m. W mieście wiele straganów i miejsc, gdzie Indianki sprzedają niezwykle kolorowe bluzki, koszule, torby, wszystko w kolorach tęczy.



Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.



Antigua. Kościół Matki Boskiej Łaskawej.



Antigua. Klasztor Kapucynek.

Nocowaliśmy w rodzinnej wsi kierowcy, w jego domu. Było to malownicze. Cała rodzina uśmiechała się do mnie miło, ale zdaje się ich hiszpański był na poziomie dość elementarnym, jeśli nie zerowym. Miałem wrażenie, że nie rozumieją mnie, gdy opowiadałem im o Polsce. Rano golenie pod jedynym kranem na podwórku, z lusterkiem opartym na jakimś drzewie. Kolejnym miejscem, dokąd się udaliśmy, było **Chichicastenango**, miasto znane z indiańskich targów i synkretycznych wierzeń jego mieszkańców, Indian *Quiché*. Centralnym punktem jest kościół Św. Tomasza, XVI, ze stromymi schodami przed wejściem. Na tych schodach Indianie palą sporządzone z żywicy drzewa *Bursera graveolens* czarne kulki zwane *pom*. W kłębach

aromatycznego dymu wznoszą modły do swoich bogów. Także wewnątrz kościoła modlą się po swojemu, ale już do katolickich świętych ubranych po indiańsku. Widziałem kobietę, która „wlewała” w usta świętego jakiś przezroczysty płyn. Powiedziała mi, że modli się w ten sposób, aby jej mąż przestał pić. Byliśmy też w jakimś lasku, gdzie nad brzegiem strumyka stały kamienne rzeźby świętych indiańskich i zapalone przed nimi świece. Na jednym ze wzgórz (*Cerro Turcaj*) jest kamienna głowa Boga Świata (*Pascual Abaj*), czczonego przez miejscowych Indian. W klasztorze Św. Tomasza mnich Francisco Ximénez odnalazł spisaną w połowie XVI świętą księgę Majów Quiché *Popol-Vuh* i przetłumaczył ją na hiszpański pod koniec XVIII. Na targu kupiłem piękną torbę w kolorach tęczy i gwatemalską koszulę.

Jezioro Atitlán

Na noc pojechaliśmy do **Panajachel** nad **jeziorem Atitlán**, gdzie przenocowaliśmy w hotelu. **Panajachel** wydało mi się nieciekawym, hałaśliwym miejscem, z tłumem turystów z całego świata. Nazajutrz popłynęliśmy małym stateczkiem do **Santiago de Atitlán**. Po drodze widoki na trzy **wulkany: Atitlán, Tolimán i San Pedro**. Wszystkie mają ponad 3 tysiące metrów wysokości. Najlepiej widoczny jest **San Pedro**. Atrakcją wioski **Santiago de Atitlán** są jej mieszkańcy, kolorowo ubrani

Indianie. Kobiety mają długie ciemnoczerwone lub czarne spódnice, haftowane bluzki i na głowie rodzaj kapelusza utworzonego z szerokiej czerwonej wstążki oplecionej wielokrotnie wokół głowy. Mężczyźni, spodnie całkiem krótkie, albo do pół łydki, w delikatne podłużne paski czarne lub czerwone, albo w paski na czerwonym tle. Mieliśmy okazję zobaczyć wewnątrz jednego z domów ich ulubionego świętego, Maximona: drewniana brązowa twarz, brązowy kapelusz, a zamiast koszuli, mnóstwo kolorowych chustek. Przed nim rodzaj ołtarzyka z tacą na pieniądze. Ludzie przychodzą, obłapiają go tuląc się do niego i coś do niego szepcząc. Krajobraz wokół jeziora nie jest zbyt atrakcyjny. Brak mi było roślinności, chociaż podobno stoki wulkanów są nią porośnięte.



Indianie w Santiago Atitlán.

Stamtąd udaliśmy się do małej miejscowości (prawdopodobnie była to ukryta w górach wioska **Concepción de Paquixalá**), gdzie był cudowny kościół kolonialny. Pamiętam, że droga była trudna, bez twardej nawierzchni i pełna wybojów. Po drodze zabraliśmy Indiankę w kolorowym stroju, z dzieckiem. Gdy chciałem zrobić sobie z nią zdjęcie, zażądała zapłaty. Kościół był olśniewająco piękny. Potem zjeżdżaliśmy w dół, w stronę wybrzeża Pacyfiku. Ten zjazd trwał długo, gdyż płaskowyż jest

położony bardzo wysoko, ponad 1500 m. Stopniowo zmieniała się roślinność: inne, rozłożyste i kwitnące drzewa, zielone łąki, kolorowe ptaki, zupełnie inny zapach. Nie mogłem oderwać oczu od zmieniającego się krajobrazu. Dojechaliśmy do małej miejscowości, gdzieś koło **San José** i zanocowaliśmy u bardzo miłych i gościnnych polskich księży. Nazajutrz byliśmy na plaży nad Pacyfikiem, ale olbrzymia fala załamywała się jakieś 10 metrów od plaży. Wypłynięcie poza nią wydawało się ryzykowne i niebezpieczne. Pluskaliśmy się więc w płyciutkiej wodzie przy czarnej plaży, której piasek boleśnie parzył stopy, tak bardzo był nagrzany. Był to mój drugi, tym razem bardziej bezpośredni kontakt z Pacyfikiem. Pierwszy miał miejsce w 1973 podczas pobytu w **peruwiańskim Pachacámac**.

W stolicy **Gwatemali**, w Instytucie Kultury Hispanistycznej, wygłosiłem wykład o hiszpańszczyźnie argentyńskiej. Nie dostałem pół grosza, ale miałem satysfakcję, bo przyszedł tłum. Zaszczycił mnie swą obecnością sekretarz ambasady argentyńskiej. Do **Tikal** poleciałem samolotem na dwa dni. Nocowałem w tamtejszym hotelu. Zobaczyłem najważniejsze miejsca i nawet znalazłem czas, by pospacerować po dżungli.

Quiriguá. Stela z hieroglifami, fot. Manuel Romaris.

Główny Plac w **Tikal** i otaczające go piramidy, zwane świątyniami Wielkiego Jaguara i Masek oraz Północnym Akropolem, robią ogromne wrażenie. Na piramidę Masek wbiegłem po wąziutkich i stromych schodkach i na szczycie długo odpoczywałem, bo rozbolały mnie bardzo nogi od tego biegu. **Tikal** był stolicą **Starego Imperium Majów** (200 – 800) i jednym z największych jego miast. Imperium zakończyło definitywnie swą egzystencję w X wieku. Właściwie odsłonięto tylko sześć piramid plus zespoły zwane Północnym i Środkowym Akropolem. Reszta nadal jest porośnięta dżunglą. Piramida nr IV nosi nazwę Dwugłowego Węża i jest najwyższa, 65 m. Żelazna drabina, po której na nią wchodziłem, niebezpiecznie się poruszała, ale jakoś wszedłem. Widok ze szczytu wynagrodził mi trudy wchodzenia: jak okiem sięgnąć wszędzie zielone morze dżungli i tylko wystają z niego białe grzebienie świątyń na szczytach piramid. Nad głową przelatują stada zielonych papug i tukanów, słychać śpiewy ciemnobrązowych kacyków montezumy (*Gymnostinops montezuma*). I cisza. I człowiek czuje się władcą tej dżungli. Tu i ówdzie na Głównym Placu fragmenty ołtarzy, stele. Wszystko, co najważniejsze zgromadzono w muzeum. Podczas spaceru po suchej dżungli udało mi się zobaczyć wysoko na drzewie małpę zwaną czepiakiem brązowym (*Ateles fusciceps*).

Po powrocie do stolicy kolejny wykład, tym razem o kulturze polskiej, na Uniwersytecie im. Francisco Marroquína. I znowu

gratis. Ale wśród słuchaczy przemiła pani profesor z Kuby.

Kolejna podróż była długa. Pojechałem najpierw do **Chiquimula**, do księży polskich. Był wśród nich ten, którego telefon – pewno nieaktualny – miałem zapisany. Atmosfera była mniej sympatyczna, niż u tych nad Pacyfikiem. Przenocowałem i nazajutrz bardzo wcześnie podwieziono mnie na dworzec autobusowy, skąd ruszał autobus w kierunku **granicy honduraskiej**. Gdy wsiadłem, w autobusie siedziała liczna grupa młodych chłopców z maczetami. Jechali do pracy na plantacji kawy. Zwróciłem uwagę, że miejsca dla pasażerów były niezwykle wąskie i prawie wszystkie były już zajęte, gdy właśnie weszła do autobusu pokaźnych rozmiarów młoda jejmość i zawołała głośno z nieukrywanym i szczerym żalem: „Ale ja się tu nie zmieszczę, bo ja mam wielką dupę!" Bardzo mnie to rozbawiło i wybuchnąłem śmiechem. Dość podłą drogą wspinaliśmy się coraz wyżej. Po drodze wysiedli chłopcy z maczetami. Zaczęły się otwierać widoki po lewej stronie wzgórza. Wreszcie dolinka i graniczny punkt kontrolny. Wizę honduraską i powrotną gwatemalską załatwił mi nieoceniony pan Adam. Po przekroczeniu granicy jąłem wspinać się pod górę, ale wkrótce zatrzymałem jakiś samochód i dotarłem do odległego o jakieś 10 km stamtąd **Copán**. Było już późno, więc poszedłem do hoteliku.

Nazajutrz pokonałem jeden kilometr dzielący miasteczko od

ruin i zostałem tam prawie cały dzień. **Copán** jest drugim po **Tikalu** największym miastem Majów okresu klasycznego (V – IX wiek). Opuszczono je definitywnie po roku 900. Ze względu na obserwatorium astronomiczne i dokonania matematyczne, a także walory estetyczne licznych steli zyskało sobie miano **„Aten Ameryki”**. To, co teraz wyraźnie tam widać, to w pierwszym rzędzie duży plac w północnej części, gdzie stoją niesłychanie barokowe stele (około 20), przedstawiające władców w strojach ceremonialnych. Są one pokryte z jednej strony hieroglifami. Tu i ówdzie widać między stelami poziome, niskie ołtarze z płaskorzeźbami dostojników. Na całym obszarze porośniętym suchym lasem tropikalnym jest pokaźna ilość pozbawionych świątyń stosunkowo niskich piramid, z których najważniejszą jest piramida ze Schodami Hieroglifów, osłoniętymi specjalną tkaniną. Schody te mają 63 stopnie pokryte gęsto hieroglifami. Przed schodami kamienna stela, pośrodku schodów stoi także kilka steli i nie wiadomo, czy zawsze tam stały, czy też ustawiono je później. Znakomicie zachowało się boisko do rytualnej gry w pelotę. Mnie najbardziej urzekły duże stele z wizerunkami władców. Każdy z nich ma bardzo dekoracyjne nakrycie głowy, rodzaj pióropusza, czy jakiejś wysokiej tiary. W miasteczku obejrzałem jeszcze interesujące muzeum ze zbiorami pochodzącymi z ruin i wróciłem do **Chiquimula.**



Tikal.



Copán. Boisko do gry w pelotę.

Następnego dnia postanowiłem pojechać do **Esquipulas**, znanego w całej Ameryce Środkowej centrum pielgrzymkowego. Miasto leży w tym samym departamencie **Chiquimula**, w pobliżu granicy z **Hondurasem** i **El Salvadorem** i słynie z wielbionego przez wiernych Czarnego Chrystusa, rzeźby wykonanej w 1594 i umieszczonej w barokowej bazylice z roku 1758. Bazylika jest dostojną białą budowlą usytuowaną na niewielkim wzgórzu, o dwóch symetrycznych wieżach wysokości 50 m każda po obu stronach głównego wejścia. Była wypełniona tłumem pielgrzymów. Rzeźba przedstawia ukrzyżowanego

Chrystusa oraz Matkę Boską, Św. Magdalenę i Św. Józefa stojących przy mocno złoconym Krzyżu.

Quiriguá. Wysoka stela.

Nazajutrz, bardzo wcześnie rano, po ciemku, wyjeżdżam z tym księdzem, którego telefon miałem zapisany, w długą drogę, której pierwszym etapem jest odległa o 50 km od **Copán Quiriguá**, nieco mniej ważne **miasto Majów**, słynące z najwyższych steli. Kwitło w tym samym okresie, co **Tikal** i **Copán**, czyli od 200 do 900. Rządzący nim w VIII wieku władca Cauac Niebo pokonał w roku 738 władcę Copán i odtąd **Quiriguá** opanowała szlak handlowy wiodący wzdłuż **rzeki Motagua**. Wizerunek zwycięzcy został uwieczniony na siedmiu z dziewięciu stel monumentalnych, w tym na tej najwyższej, mierzącej 11 metrów wysokości, gdzie Cauac Niebo występuje w bardzo wysokim i wymyślnie ozdobnym nakryciu głowy trzymając berło w ręku. Na terenie miasta znajdują się 33 ołtarze, kilka monolitów zoomorficznych, akropol złożony z pałaców ozdobionych sztukaterią i boisko do gry w pelotę. Największe wrażenie robią wysokie bardzo, smukłe wręcz stele, bardzo bogato ozdobione i w większości osłonięte daszkami z liści palmowych. W odróżnieniu od **Copán, Quiriguá** leży pośród

wilgotnego tropikalnego lasu, a jej stele i inne budowle znajdują się na porośniętych świeżą trawą polanach. Byliśmy tam rano. Już świeciło piękne słońce, a na niskiej gałęzi jednego z drzew siedział sobie spokojnie niebiesko – zielony *tolobojo grande* (*Eumomota superciliosa*), z długim ogonem zakończonym dwiema czarnymi rakietkami.

Zamek św. Filipa.

W programie było jeszcze obejrzenie Zamku Świętego Filipa (*Castillo de San Felipe*, XVII), fortecy nad jeziorem Izabal, której zadaniem było odpieranie ataków piratów, głównie angielskich. Łączność **Gwatemali** z Hiszpanią odbywała się w czasach kolonialnych właśnie przez **jezioro Izabal** i **Słodką Rzekę** (*Río Dulce*), która z niego wypywa i wpada do **Morza Karaibskiego**. Forteca otoczona jest palmami kokosowymi, a na jej tarasach stoją armaty pamiętające dawną epokę kolonialną. Mury są odpowiedniej grubości. Forteca ma skomplikowany system korytarzy i zakamarków tworzących istny labirynt. Na brzegach **jeziora Izabal** gęsta puszcza tropikalna. Było już wtedy bardzo gorąco i poprosiłem księdza, aby zechciał na mnie zaczekać, a sam wykąpałem się w jeziorze. Ksiądz musiał już wracać do **Chiquimuli**, a ja postanowiłem wysiąść na skrzyżowaniu i dojechać do **Puerto Barrios**, nad **Morzem Karaibskim**.

Zależało mi bardzo na poznaniu **Słodkiej Rzeki**. W nieciekawym mieście znalazłem hotelik i zostałem w nim dwie noce.

Słodka Rzeka.

Nazajutrz rano popłynąłem zatłoczonym stateczkiem do miasteczka **Livingston** zamieszkanego przez napływową ludność pochodzenia afrykańskiego, mówiącą specyficznym językiem *garífuna*. Jest to mieszanka afrykańsko – angielska, jako że ludzie ci pochodzą z anglojęzycznych wysp na **Morzu Karaibskim**. W **Livingston** wynająłem za 30 dolarów łódź motorową, którą przez dwie godziny miałem zwiedzać brzegi **Słodkiej Rzeki**. Była to bardzo atrakcyjna wycieczka. Dwóch tubylców obsługiwało tę łódź, a ja podziwiałem krajobrazy. Najpierw wąski, skalisty kanion rzeki. Białe, pionowe skały, na dole porośnięte dżunglą, stada białych czapli i postój przy gorących źródłach, gdzie popływałem trochę. Dalej, rzeka tworzy szeroką zatokę zwaną *El Golfete* i kolejny postój przy autentycznej dżungli, którą się zwiedza. Miejsce nazywa się *Biotopo Chocón – Machacas.* Chodzi się wytyczoną przez dżunglę ścieżką, przy której napisy informujące o ciekawych obiektach. I tak, tu ogromny błękitny motyl *morpho*, dalej wielkie mrówki *zompopo* (*Myrmicinae*) maszerują wygryzioną w trawie ścieżynką przenosząc liście, ówdzie ogromne, proste pnie drzew

tropikalnych (między innymi *palo de agua*, czyli *Vochysia hondurensis*) i cały czas odgłosy owadów i ptaków. Przy wyjściu czeka na mnie tresowana małpa skacząca po mostku.



Tolobojo grande

Po powrocie do **Livingston**, długi marsz wzdłuż wybrzeża **Morza Karaibskiego** aż do **wodospadów** zwanych **Siedem Ołtarzy** (*Siete Altares*). Po drodze dochodzą mnie dźwięki muzyki kubańskiej. Śpiewa Benny Moré. Jakże inna tu kultura,

inne zwyczaje i upodobania w porównaniu z indiańskim płaskowyżem! Przedzierałem się pokonując różne przeszkody po drodze. W pewnym miejscu jakiś chłopiec przewiózł mnie na chybotliwym mocno czółnie przez głęboką rzeczkę uchodzącą do **Morza Karaibskiego.** Z powodu suszy wodospady nie funkcjonowały. Woda stała jedynie w skalnych zagłębieniach, więc widok mało atrakcyjny. Ledwie zdążyłem na ostatni statek do **Puerto Barrios**. Tymczasem morze się rozszalało. Wysoka fala zalewała pokład, a dwoje jedynych pasażerów – jedna kobieta i ja – byliśmy osłonięci wielką przezroczystą folią, dzięki której dopłynęliśmy nie tak zmoczeni. Kobieta wychodząc na ląd przysięgała, że nigdy więcej nie wsiądzie na statek przy takim stanie morza. Nazajutrz autobus do stolicy odjeżdżał kiedy było jeszcze zupełnie ciemno. Gdy przyszedłem na dworzec autobusowy właśnie odbywała się rewizja pasażerów płci męskiej. Stali przy autobusie, a policjanci obszukiwali ich kieszenie w poszukiwaniu broni, przesuwając rękoma po spodniach. Zawołałem z daleka: „A cóż to za poranne pieszczoty!", co wywołało śmiech. Taka kontrola powtórzyła się jeszcze w jakimś odludnym miejscu na trasie. Nie należy zapominać, że partyzantka antyrządowa działała jeszcze dość aktywnie na terenie **Gwatemali**. Pana Adama na dworcu w stolicy nie było. Zdenerwowany zatelefonowałem do niego i przyjechał z wielkim opóźnieniem.

Wkrótce nastąpił mój powrót. Pan Adam odwiózł mnie na

lotnisko i zapewniał, że z przyjemnością przyjmie w przyszłości inne osoby z Polski, które mu polecę. Niestety, kontakt z panem Adamem urwał się wkrótce, mimo wysyłanych przeze mnie listów i faksów. W **Meksyku** tym razem nocowałem u wuja Roberta, ale przedtem jego rodzice dali mi do przewiezienia wielką walizę pełną różności dla Roberta i Danuty. Sam nie wiem w tej chwili, jakim cudem udało mi się ją przywieźć do Wrocławia. Wuj Roberta postanowił upoić mnie tequilą, którą serwował do późnych godzin nocnych. Po kilku godzinach snu, z niesamowitym bólem głowy, odleciałem do Londynu. Na lotnisku Heathrow czekała Teresa Korzeniowska. W Berlinie wziąłem na lotnisku taksówkę, by dojechać na dworzec kolejowy. Pamiętam, że zapłaciłem za nią 30 dolarów, czyli tyle, ile za wycieczkę w górę Słodkiej Rzeki…

Zygmunt Wojski. „Od Łupi do Parany i Amazonki", s. 165. Impresje polskiego iberysty z podróży naukowych do Ameryki Łacińskiej, Hiszpanii i Portugalii, dotyczące historii i kultury odwiedzanych krajów.

Wydawców zainteresowanych publikacją książki prosimy o kontakt z redakcją Culture Avenue.

Poprzednie części wspomnień z podróży Zygmunta Wojskiego:

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki-czesc-i/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-ii/

http://www.cultureave.com/od-lupi-do-parany-i-amazonki--czesc-iii/

http://www.cultureave.com/argentyna-i-paragwaj/

http://www.cultureave.com/brazylia-argentyna-urugwaj/

Galeria



Antigua. Wzgórze Krzyża nad miastem.



Antigua. Uniwersytet św. Karola.



Antigua. Pałac Kapitanów Generalnych.



Esquipulas.



Concepción Sololá, fot. Roberto Scriboni.

Oropéndola, czyli kacyk montezumy, fot. BirdPhotos.com.

Ryszard Druch – rysunki satyryczne

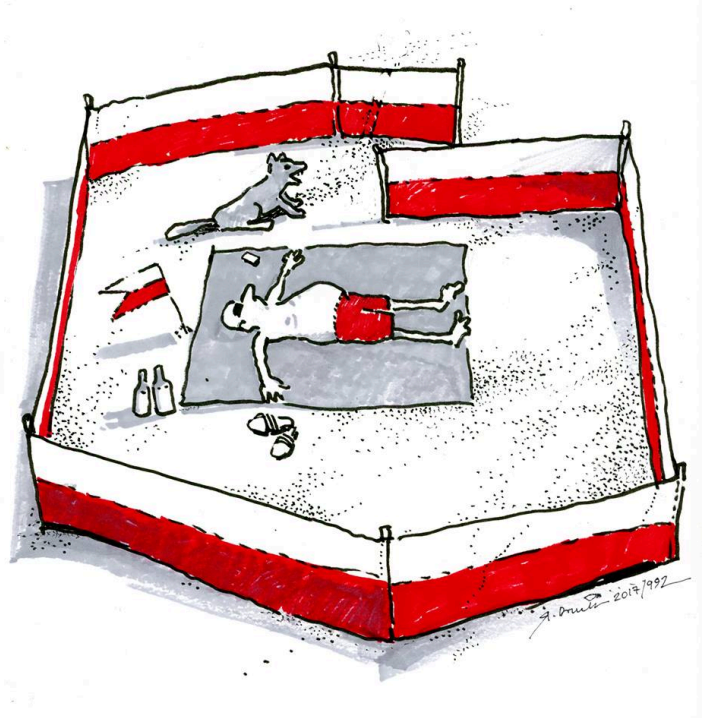
Ryszard Druch (Trenton, New Jersey), otrzymał drugą nagrodę Muzeum Karykatury w Warszawie, w konkursie „Cztery Pory Karykatury – Wiosna 2017”.

W 1991 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie w Trenton w stanie New Jersey od 1993 roku prowadzi własną firmę graficzno-reklamową „Druch Studio”. Publikuje w prasie polonijnej artykuły i rysunki, od 2009 roku redaguje jednoosobowo periodyk internetowy „SUFLER – Informator Druch Studio Gallery”. Od 1997 roku prowadzi autorski, polonijny kabaret „Odlot”, a od 2001 roku w sposób stały promuje – w polonijnym i amerykańskim środowisku – polską kulturę i sztukę.

Galeria

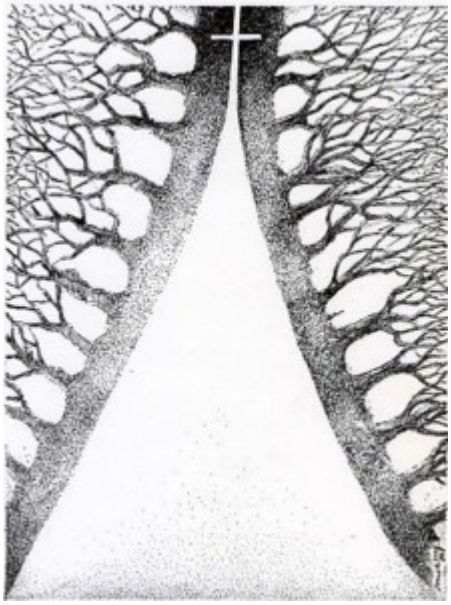



I CO Z TEGO,
ŻE NAZYWAM SIĘ
ROBERT LEWANDOWSKI
I MAM ŻONĘ
ANNĘ.....?
BIEDR
2015
801


2017/992



Rysunek nagrodzony przez Muzeum Karykatury w 2017 r.





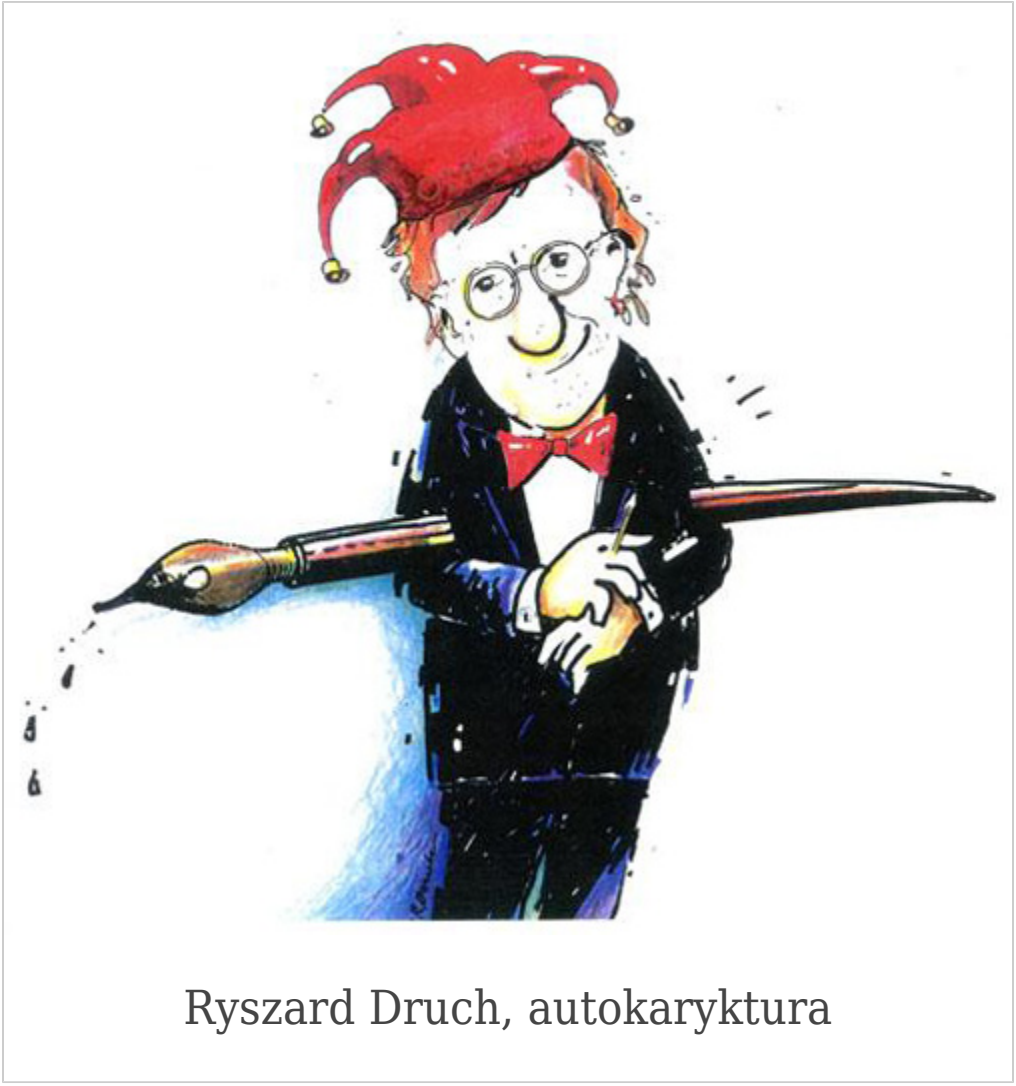



Happy
Thanksgiving



„ JazSmulski. I am blue" – projekt okładki płyty kompaktowej,

Zobacz też: http://www.cultureave.com/-przesmiewczy-glos-ryszarda-drucha/



Ryszard Druch, autokaryktura

Dorobek artystyczny Ryszarda Drucha

WYSTAWY INDYWIDUALNE

2017- TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, “Silver Anniversary Art Gala – Painting and Drawing 1991-2016”,

2015 – **OPOLE** – Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II,

– wystawa „Ryszard Druch via Atlantyk. Rysunek satyryczny. Karykatura portretowa”.

2012 – TRENTON, New Jersey (USA), Druch Studio Gallery, *“Watercolors & Acrylics 2012”*,

2011 – TRENTON, New Jersey, (USA), Druch Studio Gallery, *„2011”* , Painting,

– **WARKA**, Muzeum im. K. Pułaskiego, *„My Amerykany*” – plakaty,

2007 – TRENTON, New Jersey (USA), Druch Studio Gallery, „XV-lecie Samowychodźstwa” – malarstwo i rysunek,

2001 – SZCZECIN, Café Galerya,”*Rysunek satyryczny i ilustracja*”,

2008 – OPOLE, Galeria „WuBePe”1995, *„Plakaty*”,

– **NYSA**, Muzeum, *„Plakaty*”,

1995 – OSTRÓDA, Galeria MDK „Na Zamku”, *„ Rysunek satyryczny*”,

– **NOWY JORK**, Polish Institute of Art and Sciences of America,

“*Drawing and Caricature*”,

– **OPOLE**, Galeria “Autor”, “Imigracja – Ilustracja”,

1994 – KATOWICE, Galeria Pod Prasą” (KMPiK), ilustracja, rysunek satyryczny

1993 – YARDLEY, Pennsylvania (USA) , „Silver Lake Gallery”, „Made in USA” – Painting/ Satirical Drawing,/ Illustration,

1991 – KRAPKOWICE, Miejski-Gminny Ośrodek Kultury “Galeria Baszta” – Rysunek Satyryczny,

– **OPOLE**, Miejskie Centrum Kultury „Galeria Na Ostatnim Groszu”, Rysunek Satyryczny,

1990 – OPOLE, Galeria „Autor” – „Dzisiaj zupka”, malarstwo i rysunek satyryczny,

1989 – OPOLE, Galeria „9” – Młodzieżowe Centrum Kultury, karykatura,

– **OPOLE**, Klub Akademicki Wyższej Szkoły Pedagogicznej – „Rysunek satyryczny”,

– **GLIWICE**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, rysunek

satyryczny,

– **ZIELONA GÓRA**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, *„Rysunek satyryczny*”,

1988 – OPOLE, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, „Rysunek satyryczny”,

– **ŁÓDZ**, Harcerski Dom Kultury i Techniki, *„Rysunek satyryczny*”,

1986 – OPOLE, Galeria „Na Cyplu”, *„Rysunek Satyryczny*”,

– **SZEKESFEHERVAR** (Węgry), Town Gallery, „Satirical Drawing”,

– **OPOLE,** Galeria “Na Cyplu”, “*Rysunek satyryczny i malarstwo*”,

– **WROCŁAW**, Galeria „Garb” (KMPIK), *„Rysunek satyryczny*”,

1985 – KRAKÓW, Miejskie Centrum Kultury, *„Piórkiem druha Drucha*” – rysunek satyryczny,

– **OPOLE**, Klub Międzynarodowej Prasy i Książki, *„Rysunek prasowy*”.

WYSTAWY ZBIOROWE

2017 – WARSZAWA – Muzeum Karykatury – wystawa „Rysunki Roku 2016”,

2016 – WARSZAWA – Muzeum Karykatury – wystawa „Rysunki Roku 2015”,

2015 – WARSZAWA, Muzeum Karykatury – wystawa “Rysunki Roku 2014”,

2015 – **OPOLE** – Miejska Biblioteka Publiczna im. Jana Pawła II, – wystawa „Ryszard Druch via Atlantyk. Rysunek satyryczny. Karykatura portretowa”.

2013 – RIDGEWOOD, New Jersey (USA), The Ridgewood Art Institute, **33rd** Regional Open Juried Show 2013,

- **CLARK**, Nwq Jersey, Skulski Gallery, “Plein Air Painting… and More”
- **NEWARK**, New Jersey, Newark Liberty International Airport – “The Polish Heritage Day”,

2012 – BALTIMORE, Maryland, Notre Dame University of

Maryland, Jesienny “Odlotowy” Salon Artystyczny, Druch’s Studio Gallery Artists Painting Exhibition & Cabaret “Odlot” Show

2011- TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, „Plain Air Painting 2011”,

2011 – TRENTON, New Jersey, The 29th Ellarslie Open at The Trenton City Museum,

2009 – TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, “Joy of Painting” – Painting Exhibition,

2008 – TRENTON, New Jersey, Druch Studio Gallery, „Druch Studio Gallery 2003-2008” – 5th Anniversary Art Exhibition,

2007 – WARKA, Muzeum im. K. Pułaskiego, „Polonia Poster in the USA”,

2006 – CLARK, New Jersey, Polish Cultural Foundation – Skulski Gallery, “Gallery in Gallery” – Painting Exhibition,

2002/2003 – ilustracja w nr 6/7 (s.105) “Periphery. Journal of Polish Affairs” (Orchard Lake, MI),

2000/2001 – ilustracje w nr. 6/7 „Periphery. Journal of Polish

Affairs”(orchard Lake, MI),

2000 – NOWY JORK (Konsulat Generalny RP) – “Rok 2000 – I co dalej?”, II Salon Stowarzyszenia Polskich Artystow Karykatury1998 – **CLARK**, New Jersey, Polish Culture Foundation, Skulski Gallery

First International Graphics Exhibit

1996 – TRENTON, New Jersey, Mercer County Community College Gallery, Visual Art Student Exhibition,

1995 – PHILADELPHIA, Pennsylvania (USA), PII Gallery, “The Second Spojnik’s Friends Art Exhibition”,

1994 – CLARK, New Jersey, Polish Cultural Foundation – Skulski Gallery, “Friends of Spojnik”,

- **NEW YORK**, New York, Consulate General of Republic of Poland, “2nd Polish Satirical Art”,
- **TRENTON**, New Jersey, Trenton City Museum, “Figurativly Speaking”,
- **NEWARK,** New Jersey, New Jersey Institute of Technology University Heights Gallery, “In Tune of The Nature”,

1993 – TRENTON, New Jersey, MCCC Gallery, Mercer County

Community College Student Exhibition,

- **CLARK**, New Jersey, Polish Cultural Foundation – Skulski Gallery, “September at Skulski Gallery”,

1992 – LEGNICA, Międzynarodowy Konkurs Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’91”,

– **CLARK**, New Jersey (USA), Polish Cultural Founfation, “Broadway Affair”,

– **NOWY JORK**, Konsulat Generalny RP, “*Polish Satirical Art*”,

1991- LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’91”,

1990 – KNOKKE-HEISTE (Belgia), International Cartoons Exhibition,

– **LEGNICA**, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego “Satyrykon’90”,

1989 – KNOKKE-HEISTE (Belgia), International Cartoons Exhibition,

- **WARSZAWA**, Pałac Kultury i Nauki, I Międzynarodowa

Wystawa *„Sztuka w Obronie Natury”*,

– **LEGNICA**, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’89”,

1988 – LEGNICA, Miedzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’88”,

– **SUWAŁKI**, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi” – Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1987 – LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’87”,

– **KĘDZIERZYN-KOŹLE**, Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej,

– **SUWAŁKI**, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi” – Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1986 – LEGNICA, Międzynarodowa Wystawa Rysunku Satyrycznego „Satyrykon’86”,

– **OPOLE**, Wojewódzki Dom Kultury, Opolska Plastyka Amatorska,

– SUWAŁKI, Biuro Wystaw Artystycznych, „Natura Matką Ludzi”
– Wystawa Rysunku Satyrycznego,

1985–WROCŁAW-OPOLE, Plastyka Nieprofesjonala Ziem Nadodrzańskich,

1984 – OPOLE, Wojewódzki Dom Kultury, XXV Jubileuszowa Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej

– **POCZDAM** (NRD), Amatorska Plastyka Województwa Opolskiego,

1983 – KLUCZBORK, XXIV Wojewódzka Wystawa Plastyki Amatorskiej.

ODZNACZENIA PAŃSTWOWE, RESORTOWE i inne.

2014 – Krzyż Kawalerki Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej,

2013 – Medal Komisji Edukacji Narodowej,

– Odznaka „Zasłużony Dla Województwa Opolskiego”.

2010 – The Polish Arts Club of Trenton, New Jersey Award,

Brązowy Krzyż Zasługi (PRL),

Krzyż Zasługi dla ZHP (PRL),

Odznaka „Zasłuzony dla Miasta Opola” (PRL),

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA ARTYSTYCZNE

2016 – wyróżniniahonorowe w Konkursie „Cztery Pory Karykatury” Muzeum Karykatury w Warszawie (edycje: Lato, Jesień Zima)

2015 – wyróżnienie w Konkursie „Cztery Pory Karykatury” Muzeum Karykatury w Warszawie,

2014 – **III NAGRODA** w Konkursie Muzeum Karykatury w Warszawie na „Najlepszy Rysunek Miesiąca – Kwiecień 2014”.

2010 – The POLISH ARTS CLUB of TRENTON, NEW JERSEY 2010 AWARD (za osiągnięcia w upowszechnianiu polskiej kultury w Trenton, New Jersey),

1988 – III NAGRODA w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Konszachty”, Gminny Ośrodek Kultury w Gostyniu,

1987 – II NAGRODA w Ogólopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Konszachty”, Gminny Ośrodek Kultury w Gostyniu,

1986 – I NAGRODA w Ogolnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego „Natura Matką Ludzi”, BWA w Suwałkach,

– I NAGRODA w Ogólnopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznego z okazji XXX-lecia Akademickiego Biura Podróży i Turystyki „Almatur” (Warszawa),

– I NAGRODA w I Ogólopolskim Konkursie Rysunku Satyrycznegi im. Zbyszka „Bruno” Szulca w Tarnowie,

– WYRÓŻNIENIE na Międzynarodowej Wystawie Rysunku Satyrtcznego „Satyrykon’86” w Legnicy.

PUBLIKOWANE PRACE/PROJEKTY GRAFICZNE

2016 – 15-lecie Polskiej Szkoły „Ogniwo” w Trenton, New

Jersey – okładka i 14 ilustracji,

– **„Indeks”. Pismo Uniwersytetu Opolskiego, rysunki, s……..**

2015 – „ JazSmulski. I am blue” – projekt okładki płyty kompaktowej,

2010 – Andrzej Wala „Z Atlantic City mój śpiew łabędzi. Felietony radiowe z lat 2003-2004 dla Radia Zbliżenia – projekt okładki,

2009 – Harry Duda „Wiersze amerykańskie” – projekt okładki tomiku poetyckiego i 8 ilustracji,

2B – pismo…. ilustracje

2003 – projekt 44. numeru okładki miesięcznika społeczno-kulturalnego „Teraz” z Filadelfii,

2002/2003 – ilustracja w nr 6/7 (s.105) “Periphery. Journal of Polish Affairs” (Orchard Lake, MI),

2000/2001 – ilustracje w nr. 6/7 „Periphery. Journal of Polish Affairs”(orchard Lake, MI),

2000- 2017 – projekty plakatów do ponad stu Salonów Artystycznych Druch Studio Gallery w Trenton, New Jersey,

1994 – Kalendarz Opolski 1994, Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe, „Amerykańskie rysunki Ryszarda Drucha", s. 292-293.

1995 – opracowanie graficzne programu The Polish Theatre Group of New York do sztuki Jana Pawła II (Karola Wojtyły) **"The Jeweler's Shop**" w reżyserii **Ireneusza Wykurza**w Kościele św. Jadwigi w Trenton, NJ,

1995 – projekt okładki programu The Polish Theater Group of New York **„The Jeweler's Shop" Jana Pawła II (Karola Wojtyły)** w reżyserii **Ireneusza Wykurza** wystawionej w Carnegie Hall w Nowym Jorku,

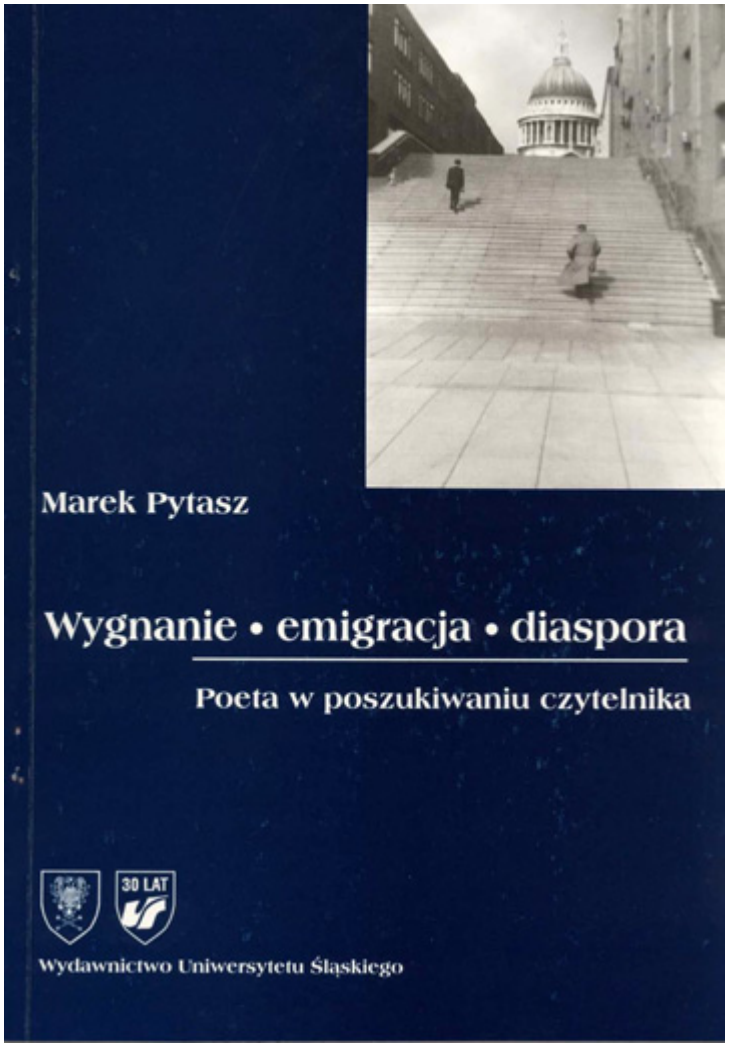
1995- Elżbieta Baumgartner „Ameryka dla każdego" – zestaw ilustracji do t. III,

1993 – rysunek opublikowany w kwietniowym miesięczniki ZHP „Harcerstwo",

1992-1996 – miesięcznik społeczno-kulturalny „Spójnik" (Trenton, New Jersey) – ilustracje i projekty okładek.

Trzy książki o literaturze emigracyjnej

Florian Śmieja



Aczkolwiek w wolnej Polsce nastąpiło ożywienie zainteresowania literaturą emigracyjną i trzy ośrodki – Toruń, Katowice i Rzeszów zaczęły szkolić specjalistów w tym przedmiocie, to ich publikacje często nie wychodziły poza wąski krąg odbiorców, miłośników zagadnienia, a nawet rzadko docierały na emigrację, by stać się elementem dialogu. Utrudniła go ponadto przemiana większości prasy emigracyjnej w popularną, sensacyjną, anonimową papkę bez ambicji.

Profesor Uniwersytetu Śląskiego Marek Pytasz, który już bardzo wcześnie zajął się literaturą emigracyjną i trafił do Londynu zanim wystygły ślady jego ostatnich aktywnych literatów, jeszcze w 1998 roku opublikował książkę o znamiennym tytule “Wygnanie – emigracja – diaspora”.

Przyjął w niej datę 1997 r. jako moment uznania literatury emigracyjnej za część składową literatury narodowej. Zajął się

nie wartościowaniem twórczości powstałej na obczyźnie, ale jej społecznymi kontekstami funkcjonowania, życiem literackim, zabiegami piszących, by zdobyć czytelnika i innymi doraźnymi celami przyświecającymi emigrantom.

Śledzi on przekształcanie się dawnej obronnej fortecy zachowawczej pisarzy, w poszukujących kontaktów ze współczesnym otaczającym ich światem oraz próbujących dróg własnych młodych pisarzy buntujących się przeciwko niepełnemu życiu na emigracji.

Autora zdaje się bawić pragmatyczne podejście pisarzy emigracyjnych organizujących przedpłaty na swoje książki, gdyż nie dysponowali środkami własnymi ani publicznymi funduszami. Szczegółowo relacjonuje zmagania się twórców z tzw. obiektywnymi przeszkodami. Pokpiwa nieco z zamieszczanymi niekiedy bibliografiami wydanych przez autora pozycji, bez względu na brak innych pomocy, które mogłyby tę informację podać.

Drobiazgowe dywagacje nad kształtem ramy wydawniczej w oparciu o trzysta tomów wierszy wydanych na emigracji, to buszowanie w twórczości emigrantów, to uczta dla pamiętających czasy powstawania owego piśmiennictwa i ciekawa lekcja pokazowa dla młodszych amatorów wiedzy na ten temat. Autor miał nie lada zabawę, a nam dał dociekliwą

książkę dyskutującą otwarty i obronny wzorzec twórczości literackiej na emigracji.

*

Kilka lat później Pytasz wydał śliczną graficznie książkę "Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach bycia poetą emigracyjnym i inne historie".

W tomie tym zebrał szkice o wybranych pisarzach emigracyjnych takich jak Jan Lechoń, Kazimierz Wierzyński, Stanisław Baliński, Jerzy Pietrkiewicz, Czesław Bednarczyk, Marian Pankowski czy Wacław Iwaniuk.

Esej "Wacław Iwaniuk – Ethnic Canadian Write?" miał się spotkać z gwałtowną dezaprobatą Iwaniuka. Uniósł się wielkim gniewem nie bardzo jasno pojmując, o co poszło. Już samo nadanie polskiemu tekstowi angielskiego tytułu zakończonego znakiem zapytania powinno było zwrócić uwagę czytającego, że autor referuje dziwną dla niego sprawę sytuacji pisarzy żyjących w Kanadzie na stałe, a tworzących w językach innych niż oficjalne, angielski i francuski. Ci pisarze "trzeciego języka", kategoryzowani jako "pisarze etniczni", (z tym, że słowo "etniczny" nie waloryzuje, a jedynie selekcjonuje) od lat starają się, by ich zauważali pisarze z tzw. "main stream", czyli z zasadniczego obiegu, głównego prądu i szukają

sprzymierzeńców, którzy by doceniali doświadczenia przybyszów spoza Kanady.



Pytasz w żadnym wypadku nie zasługiwał na gwałtowny atak Iwaniuka, ba, na krytyczne uwagi tyczące jego tekstu. Temat potraktował ostrożnie. Nie wychylał się poza wypowiedzi rzeczoznawców kanadyjskich akceptowanych przez Iwaniuka bez zastrzeżeń w antologii "Seven Polish-Canadian Poets" (którą ze mną współredagował), nie protestując ani przeciw opinii Zbigniewa Folejewskiego, ani swojego dobrego znajomego i współpracownika, Johna Roberta Colombo.

Niemniej posłał Pytaszowi niewybredny list powołując się na "szczegółowe sprawozdanie z owej nieszczęśliwej sesji" (szkic został zaprezentowany na sesji naukowej). Szafował w nim uwłaczającymi epitetami, wyzywał od "domorosłych speców". A określanie go "etnicznym poetą kanadyjskim" nazwał

obraźliwym, konkludując, że “tylko krytyk bez wyobraźni mógł coś podobnego wykoncypować”.

Ten wybuch był wielkim nieporozumieniem i krzywdą wyrządzoną przychylnemu krytykowi, który nie popełnił żadnej transgresji, wręcz przeciwnie, próbował posiłkując się dostępnym i znanym Iwaniukowi materiałem, pokazać złożoność problemu nazewnictwa, pułapki słowa “ethnic”, pojęcia języka nieoficjalnego, czy trzeciego języka.

W drugim z dwu dołączonych do tomu felietonów mowa jest o “Bias, czyli o stronniczości w krajowych badaniach literatury emigracyjnej”, w jej różnych aspektach. Pytasz nie uważa się bynajmniej za hołdującego tej słabości, ale zaprasza do dyskusji na ten temat.

*

Kiedy na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku pokaźna rzesza młodych Polaków i Polek zrzuciła mundury wojskowe, względnie wyszła z obozów dla młodzieży i znalazła się w Londynie, powstała barwna społeczność studencka, wśród której z czasem wyłoniły się jednostki zainteresowane twórczością literacką. Stworzyły one pisma, które ewoluowały z suchych biuletynów organizacyjnych w periodyki o ambicjach literackich i publicystycznych. To drugie zostało podyktowane

październikową odwilżą sygnalizującą możliwość zmian w polskim życiu politycznym. Wbrew ogólnemu pesymizmowi sowiecki komunizm się rozpadł, a Polska odzyskała wolność. Przywrócono emigrantom ojczyznę. Mogli już wrócić, wróciła też wiedza o nich. Ludzie, o których nie wolno było pisać czy mówić, stanęli nagle w reflektorach zainteresowania. Zajęli się nimi badacze i krytycy. Powstały liczne artykuły, audycje i książki. Wybranym jednostkom poświęcono monografie.

Próbując określić twórczość poetycką Bogdana Czaykowskiego, Bożena Szałasta-Rogowska napisała, że ewoluowała ona

> od poezji buntu, nieustannych poszukiwań, bolesnej alienacji, ciągłej wędrówki i nierzadko nowatorskiego eksperymentu językowego, w kierunku liryki religijnej i metafizycznej, w stronę refleksyjnego traktowania krajobrazu i przyrody oraz częściowego ukojenia głęboko odczuwanej bezdomności w pejzażu kanadyjskim, będącej w tej twórczości synechdochą całej natury.

Wydając drukiem wybrane partie pracy doktorskiej “Twórczość poetycka Bogdana Czaykowskiego”, zaznaczyła we wprowadzeniu, że

> Głównym celem jest… omówienie istotnych aspektów… W przypadku poezji, ciągle i żywo rozwijającej się, trudno posługiwać się jednoznacznymi sądami, tym bardziej, że nie sposób przewidzieć, czy któryś z tekstów ledwie zasugerowanych, nie będzie w przyszłości zasługiwał na umieszczenie go na liście motywów centralnych…

Prześledziła w monografii barwne losy poety od rodzimego Wołynia, przez zsyłkę i dzieciństwo na Wschodzie, debiut i terminowanie w Anglii, studia i emigrację do Kanady. Cytując i omawiając jego wiersze skoncentrowała się na osiowych tematach tożsamości, dzieciństwa i twórczości.

W osobie Bożeny Szałasty, Czaykowski znalazł dociekliwą i rzetelną uczoną, pilną i drobiazgową, która dała nam książkę piękną traktującą o człowieku pióra, uważanym za najbardziej ciekawego poetę ostatniego pokolenia wojennej emigracji.

Marek PYTASZ: Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika, Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego. Katowice 1998 s. 172.

Marek PYTASZ: Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach

bycia poetą emigracyjnym i inne historie, Wydawnictwo Gnome, Katowice 2000, s. 188.

Bożena SZAŁASTA-ROGOWSKA: Urodzony z piołunów. O poezji Bogdana Czaykowskiego, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Wydawnictwo Gnome, Katowice – Toronto 2005, s.172.

Marek Pytasz

Doktor habilitowany, profesor Uniwersytetu Śląskiego. Dyrektor Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego. Jego zainteresowania łączą się z historią literatury polskiej XX wieku. Autor prac o Skamandrytach, m.in. książki *Nie mam recepty na zbawienie świata…. Wokół „Kronik tygodniowych" Antoniego Słonimskiego*, Katowice 1987. W roku 1998 wraz z Elżbietą Grabską wydał inedita gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego pod tytułem *Szuflada generała Wieniawy*. Jednak najwięcej uwagi poświęca polskiej literaturze na obczyźnie. W roku 1998 wydał książkę *Wygnanie – emigracja – diaspora. Poeta w poszukiwaniu czytelnika*. W 2000 r. ukazała się następna publikacja poświęcona literaturze na obczyźnie – *Kilka opowieści o niektórych dolegliwościach bycia poetą emigracyjnym i inne historie*. Wydał między innymi: *Oficyna Poetów. Bibliografia 26 – 57*, Londyn 1984, II wydanie Londyn 1996 [współautor]; Czesław

Bednarczyk, *Wiersze wybrane*, Warszawa 1990; Florian Śmieja, *Wiersze wybrane*, 1999 oraz wywiady ze znaczącymi poetami emigracyjnymi, m.in. ze Stanisławem Balińskim, Jerzym Pietrkiewiczem, Florianem Śmieją, Janem Darowskim, Jerzym Niemojowskim, Bogumiłem Andrzejwskim, Krystyną i Czesławem Bednarczykami (druk w „Twórczości", „Odrze", „Kresach", „Arkadii", „Frazie"). Był redaktorem koordynującym wydanie I tomu *Literatury emigracyjne, 1939-1989*, Katowice 1994. Autor kilkudziesięciu artykułów poświęcony literaturze polskiej tworzonej poza granicami kraju. Ma na swoim koncie kilkadziesiąt artykułów, szkiców, not o dorobku polskich środowisk literackich na obczyźnie. Współpracował przy tworzeniu ponad trzydziestu audycji telewizyjnych i radiowych poświęconych polskim pisarzom emigracyjnym. Sporo uwagi poświęca także popularyzacji wiedzy o literaturze. Zredagował między innymi: *Gatunki paraliterackie, publicystyczne i użytkowe. Leksykon szkolny*, Gorzów 1993; *Szkolny słownik literatury polskiej XX wieku*, Katowice 1998; *Szkolny słownik bohaterów literackich* (wraz z M. Kisielem), Katowice 1996; *Szkolny słownik wiedzy o literaturze* (wraz R. Cudakiem), Katowice 2000. Jest członkiem m.in. Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

Bożena Szałasta-Rogowska

Doktor nauk humanistycznych, asystent w Zakładzie Literatury

Współczesnej Uniwersytetu Śląskiego. Pracę doktorską poświęciła twórczości poetyckiej Bogdana Czykowskiego. Jej zainteresowania skupiają się wokół współczesnej poezji polskiej i literatury na Śląsku. W roku akademickim 2002/2003 była profesorem wizytującym na Uniwersytecie w Toronto, gdzie wykładała literaturę polską i prowadziła zajęcia lektoratowe.

Billie Holiday, William Dufty: „Lady Day śpiewa bluesa” każdego dnia.



Billie Holiday, Downbeat Club, Nowy Jork, luty 1947, fot. William P. Gottlieb, źródło: wikipedia.

Barbara Lekarczyk-Cisek

Pięćdziesiąt lat po amerykańskim wydaniu biografii słynnej wokalistki jazzowej, Billie Holiday, ukazał się w Wydawnictwie Czarne jej polski przekład. Opowieść Billie o sobie samej to jak słuchanie jej nagrań. Przekonajcie się sami.

Billie Holiday była moją ulubioną piosenkarką w latach młodości, kiedy to interesowałam się jazzem i bluesem. Nie tylko kolekcjonowałam jej nagrania, utrwalając je na magnetofonie szpulowym audycje Polskiego Radia, zwłaszcza „Blues wczoraj i dziś" Marii Jurkowskiej, ale stałam się nawet szczęśliwą posiadaczką mojej ulubionej płyty (oczywiście analogowej): „Lady in Satin", nagranej w 1958 roku dla Columbia Records, z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej i chóru. To szczególny album, na którym Billie wykonuje głównie utwory pełne smutku, a niedoskonałości jej zmęczonego głosu (było to na rok przed śmiercią wokalistki) zdają się dodawać im bluesowego feelingu. Przede wszystkim brzmią jakoś wyjątkowo prawdziwie i szczerze – jak spowiedź z całego życia. Żadna z jej płyt nie zrobiła na mnie tak wielkiego wrażenia, jak właśnie tamta…

https://www.youtube.com/watch?v=UCsxqDq6B04&list=PLA60E79E252E052B0

W latach 70. biografię Billie Holiday zaczął tłumaczyć znawca i propagator bluesa, Stefan Zondek, tłumacz autobiografii Louisa

Armstronga: „Moje życie w Nowym Orleanie”, ale pracę przerwała jego przedwczesna śmierć. I oto po tylu latach – wreszcie jest, w znakomitym tłumaczeniu Marcina Wróbla, które pozwala posmakować charakterystycznego sposobu mówienia Billie, przyjrzeć się jej niejako z bliska – na tyle, na ile nas do siebie dopuszcza. Z pewnością nie jest to sensacyjna i skandalizująca biografia znanej wokalistki, jak choćby wydana przez W.A.B. w 2007 roku książka autorstwa Julii Blackburn. Opowieść Billie o sobie samej przypomina słuchanie jej nagrań.

> Billie jako wokalistka – czytamy we wstępie autorstwa Davida Ritza – bywała przejmująca lub wzruszająca, rozgoryczona lub pełna słodyczy, agresywna albo wycofana, pełna wiary w siebie i zagubiona. Tę książkę charakteryzuje równie brutalna emocjonalna szczerość. A to, że szczerość nie zawsze ma pokrycie w faktach, nie odgrywa większej roli. Nie pisała tego tekstu dla historyków muzyki czy etnomuzykologów. Kierowała nią ta sama potrzeba wyrażenia uczuć, która zmuszała ją do śpiewania.

Wszystko o mojej matce… i nie tylko

Ilu ludzi, tyle prawd i narracji. Ta ma tę szczególną wartość, że pochodzi z samego źródła, że możemy „posłuchać” barwnego

języka Billie Holiday, obejrzeć jej oczami Baltimore lat dwudziestych, poczuć atmosferę klubów jazzowych Nowego Jorku i Los Angeles. Poznamy także galerię znakomitych postaci, nie tylko ze świata jazzu, jak Ethel Wathers, Lestera Younga (to on wymyślił przydomek Lady Day) czy Benny Goodmana, ale także słynnego reżysera Orsona Wellesa czy aktora Clarka Gable`a, których Bllie poznała przy okazji pobytu w Los Angeles, gdy grała w filmie „New Orleans" (1947).

O swoich rodzicach, a szczególnie o matce, pisze szczególnie ciepło – zwłaszcza o jej prawości, skromności, pracowitości i wielkiej gościnności, nie unikając przy tym charakterystycznych kolokwializmów:

> Matka nie tylko kochała ludzi, ale też pokładała w nich dużą wiarę. Jej zdaniem, w każdym było coś dobrego, bo takimi stworzyć nas Bóg. Wszędzie dostrzegała dobro, znajdowała je w najdziwniejszych typach. Nie tylko w dziwkach i alfonsach, ale też w złodziejach i mordercach. (...) Mogłeś być skończonym łajdakiem i złodziejem, ale wystarczyło powiedzieć, że jesteś muzykiem, a matula oddałaby ci ostatnią koszulę.

Mistrzyni interpretacji

Nie miała wykształcenia, ukończyła zaledwie pięć klas i to – jak pisze – w biednych szkołach dla czarnych w Bostonie, a jednak posiadała wrodzoną inteligencję i muzyczną wrażliwość oraz niezwykłą intuicję, które sprawiały, że nawet banalny tekst potrafiła zinterpretować tak, że nagle zyskiwał drugie dno. W jej ustach „My Man" czy „Lover Man" brzmią niepowtarzalnie.

> Każdy musi być inny – czytamy w biografii. Kopiowanie do niczego nie prowadzi. Naśladownictwo oznacza, że robisz coś, czego nie czujesz, cała robota na nic. Nie ma dwóch takich samych ludzi na świecie, tak samo w muzyce, jak i poza muzyką.

Jej interpretacje piosenek nie mają sobie równych, ale dopiero czytając biografię zaczynamy zdawać sobie sprawę, że to, co było dla nas dotąd oczywiste, wcale nie przychodziło tak łatwo.

> Ludzie naprawdę nie rozumieją, jak mocno trzeba się umordować, żeby nagrać to, co chcesz, dokładnie tak, jak chcesz. Zdarzało mi się walczyć nawet przez dziesięć lat, żeby nagrać utwór, który bardzo kochałam. (…) Nadal walczę o możliwość zaśpiewania niektórych rzeczy.

Billie opowiada szczerze o swoich kłopotach z uzależnieniem od narkotyków, podkreślając, jak zgubny to nałóg, o pobytach w więzieniu (były to czasy, kiedy karano za posiadanie choćby niewielkich ilości narkotyków), a także o upokorzeniach, biedzie, utraconych miłościach… Wszystko to odnajdziemy w jej interpretacjach piosenek: „Lady sings the Blues" czy w mojej ulubionej: „Don`t Explain".

> Często słyszałam – komentuje – że nikt poza mną nie śpiewa z takim uczuciem o głodzie i miłości. Być może dlatego, że nadal pamiętam, co znaczą te słowa.

Billie Holiday pichci obiad w hotelowym pokoju

W biografii Billie Holiday znajdziemy także niemało anegdot. Po wielkim sukcesie na deskach Metropolitan Opera w Londynie piosenkarka jest wprawdzie we wspaniałym humorze, ale narzeka na hotelowe jedzenie. Postanawia sama przyrządzić sobie posiłek. Otwiera puszkę czerwonej fasoli, którą zawsze wozi ze sobą, dodaje czosnek, trochę mielonego mięsa i gotuje to wszystko na maszynce spirytusowej.

> Myślałam, że w hotelu zaczną się czepiać z powodu zapachu

> – zwierza się w książce, ale zanim zdążyłam wszystko przygotować, do moich drzwi zaczęli się dobijać windziarze, pokojówki i kierownicy pięter. Wszystkim bardzo smakowało. (…) Do dziś wysyłam tę fasolę znajomym z Londynu.

Frywolne piękno i poetycka szczerość

Biografia Billie Holiday ma wszelkie cechy intymnego zwierzenia, czuje się w niej zaufanie do Williama Dufty`ego, z którym była zaprzyjaźniona i który dyskretnie jej zwierzeniom towarzyszy, nie zaznaczając jakoś swojej obecności. Jest idealnym słuchaczem – pośrednikiem pomiędzy wokalistką a potencjalnymi czytelnikami.

> Kocham tę książkę – pisze we wstępie Ritz. Zakochałem się w niej u progu swojej jazzowej obsesji, gdy miałem zaledwie trzynaście lat. Teraz jestem pół wieku starszy, przeczytałem ją bodaj piąty raz i nadal ją kocham. Cieszy mnie nie tylko frywolne piękno tej prozy i jej poetycka szczerość, jestem wdzięczny, że dzięki tej książce mogę poznać Billie.

Sądzę, że mogłabym powtórzyć za nim te słowa. „Lady Day śpiewa bluesa” to lektura obowiązkowa nie tylko dla wielbicieli

Billie Holiday, ale także dla wszystkich, którzy interesują się jazzem, bo mogą zajrzeć pod podszewkę czasów jazzowych knajpek i segregacji rasowej.

Książka Billie Holiday i Wlliama Dufty: „Lady śpiewa bluesa" ukazała się w Wydawnictwie Czarne, w przekładzie Marcina Wróbla.

Ojciec był poetą katolickim

Barbara Gruszka-Zych

Rozmowa z Antonim Miłoszem – synem noblisty Czesława Miłosza o poszukiwaniu, Mszach łacińskich i szacunku.



Urodziny Czesława Miłosza, 30 czerwca 2017 r. w dworku w Krasnogrudzie. Od lewej: Barbara Gruszka-Zych, Toni Miłosz – syn Czesława Miłosza, Nikita Kuznetsov, Grzegorz Hajkowski, fot. Roman Koszowski.

Barbara Gruszka-Zych: Dwa lata temu na Festiwalu Miłosza w Krakowie ks. prof. Jerzy Szymik, który napisał pracę habilitacyjną o Pana ojcu, powiedział, że Czesław Miłosz jest największym poetą religijnym. Wiele osób zaprotestowało.

Antoni Miłosz: Mój ojciec był na pewno poetą katolickim. Gdyby nim nie był, nie napisałby listu do Jana Pawła II, w którym

prosił o potwierdzenie, że jego twórczość jest zgodna z doktryną katolicką. To nieprzeciętny gest, nie pamiętam takiego drugiego wypadku w historii, żeby autor zwrócił się do papieża z prośbą o imprimatur. Wysyłając swój list, w pewnym sensie prosił ojca świętego o rozszerzenie wachlarza tego, co teologia katolicka obejmuje, do tematów poruszanych w jego twórczości. Papież uznał, że twórczość mojego ojca nie odstępuje od zasad teologii katolickiej. Bardzo ostrożnie i mądrze odpisał, że liczy się intencja poety. To było pojednanie z Kościołem przeprowadzone na bardzo wysokim poziomie.

BGZ: Czy ojciec z Panem o tym rozmawiał?

AM: Oczywiście… Ale rozmowa nie była nawet potrzebna. Rozumieliśmy się bez słów w tym temacie. Teologicznie ojciec stał na krawędzi myśli gnostycznej z elementami manicheizmu. Był bardzo skupiony nad pytaniem, skąd się bierze zło. Szukał wytłumaczenia w nauce Kościoła. Kiedy się rozmawia z ludźmi w Stanach, gdzie ojciec spędził długie lata, a ja mieszkam do dziś, ma się wrażenie, że zło jest wyłącznie brakiem dobra. Jednak ojciec uważał, że zło ma swoją siłę…

BGZ: To sprawa szatana…

AM: Oczywiście, uznawał, że szatan istnieje. Nie ma ogona, ale działa.

BGZ: Stany Zjednoczone i w ogóle Zachód to inny Kościół niż w Polsce.

AM: Kiedy w Ameryce mówi się „Kościół”, to nie myśli się wyłącznie o Kościele katolickim. Katolicy są tam w mniejszości. Czasem chodziłem z ojcem do kościoła. Pamiętam taką Mszę w Stanach, w kościele przy Uniwersytecie w Berkeley, z której musieliśmy wyjść. Były święta Bożego Narodzenia, a ksiądz na kazaniu opowiedział dowcip, że Pan Jezus przyszedł na świat w postaci kobiety. To było takie przypodobywanie się na siłę temu, co modne, nowoczesne. My z ojcem nie mogliśmy tego zaakceptować. Dlatego też nie podobają mi się Msze z gitarami. Nie lubię, kiedy Kościół stawia się w pozycji proszącego wiernych, żeby do niego przychodzili, przyciągając ich różnymi atrakcjami. Zupełnie inną Mszę przeżyliśmy z ojcem w Bretanii, w miasteczku Pornic. Miałem wtedy chyba 10, 11 lat. Weszliśmy do malutkiego kościoła, gdzie Eucharystię po łacinie sprawował gruby, widać lubiany przez parafian, ksiądz. Pochylał się nad ogromnym mszałem, którego litery można było zobaczyć z ostatniego rzędu. To była Msza śpiewana. Wszyscy zgromadzeni w kościele modlili się z takim skupieniem, że stworzyliśmy razem prawdziwą wspólnotę. Duch Święty był wśród nas. Nawiasem mówiąc, szkoda, że łacina nie stała się językiem Unii Europejskiej. To język, który przez stulecia bardzo dobrze nam służył. Dla mnie Msza po łacinie istnieje na poziomie ponadnarodowym. Teraz Msze w językach narodowych mają

w dużej mierze swoją specyfikę, może zbyt lokalną.



Czytanie „Traktatu teologicznego” Czesława Miłosza, z okazji urodzin noblisty, 30 czerwca 2017 roku w Krasnogrudzie. W środku Toni Miłosz, fot Barbara Gruszka-Zych.

BGZ: W dzieciństwie modlił się Pan po łacinie?

AM: „Pater noster” mówiłem w kościele. Nauczyłem się modlitw w różnych językach. „Ojcze nasz” mówiłem najpierw po polsku.

BGZ: Czy udział we Mszy św. był ważny dla Pana ojca? Wiem, że w Krakowie modlił się w kościele św. Idziego pod Wawelem.

AM: Tak, rzeczywiście. W Berkeley było kilka kościołów, do których ojciec chodził. Najczęściej na Mszę wybieraliśmy się do kościoła uniwersyteckiego.

BGZ: Jan Paweł II powiedział, że kiedy Pana ojciec robił w swojej wierze jeden krok do przodu, to zaraz potem cofał się o dwa kroki.

AM: Papież jako człowiek był podobny do ojca. Był czuły na drugiego. Rozumiał, że w sztuce jest konieczne nieustanne poszukiwanie.

BGZ: Czy Pana ojciec był samotny w Berkeley? Kiedy pisał „Ziemię Ulro" czuł otaczającą go pustynię duchową.

AM: Czuł się tam samotny na samym początku. Kiedy przyjechał do Stanów, był negatywnie nastawiony do Ameryki. Kilka lat zajęło mu odkrycie wartości tego społeczeństwa. Tak naprawdę przełamał się pod koniec lat 60., kiedy poznał bardzo zdolnych studentów i tamtejsze środowisko. Docenił amerykańskie społeczeństwo za jego nieustanne dążenie do demokracji, która jest mu wpajana historycznie jako podstawowa zasada istnienia. Kiedy w 1978 r. wydał „Ziemię Ulro", wychodził z samotności. Wtedy coraz częściej odwiedzali go ludzie z Polski, a amerykańscy poeci przyjęli go bardzo serdecznie i uznali za jednego z nich. Mimo że jego wiersze czytali w tłumaczeniu,

widać było, że jego twórczość bardzo do nich przemawia. Na jego spotkania autorskie, nawet przed Noblem, przychodziły tłumy.

BGZ: A więc mówienie, że on – samotnik chował swoje wiersze do dziupli starego drzewa, było przesadą?

AM: To tworzenie mitu.

BGZ: Jaki miał Pan stosunek do pisania ojca?

AM: Jako dziecko nie wiedziałem, że ojciec pisze. Po prostu zamykał się w gabinecie i pracował. Dla mnie ojciec był autorytetem, ale jego wiersze nie od razu do mnie przemawiały. Kiedy byłem mały, krępowało mnie, kiedy czytał je gościom przychodzącym do domu. Za to bardzo lubiłem, kiedy w domu czytał nam – swoim synom, utwory Mickiewicza. Chciał, żebyśmy poznawali piękną, polską literaturę i cieszyli się nią.

BGZ: Może czytał wam „Ballady i romanse", tak jak mnie mój tata?

AM: Tak właśnie! Akurat to… I to mi zostało jako taki bardzo istotny grunt. To był język polski bardzo dobrej jakości. Ojciec czytał nam też powieści, które sam pochłaniał jako mały chłopiec. Na przykład Karola Maya. To autor w ogóle nieznany

w Ameryce czy we Francji. Za to wszyscy Polacy wiedzą, kto to był Winnetou i Old Shatterhand.

BGZ: Jaki wiersz ojca Pan lubi?

AM: „Rzeki", do którego ułożyłem muzykę i pod tym tytułem wydałem płytę. To głęboki tekst, dający mocny, metaforyczny obraz rzeczywistości jako rzeki.

BGZ: A jak to było z tłumaczeniem tekstów biblijnych przez Pana ojca? Wyjaśniał, że tylko w oryginale mógł je naprawdę zrozumieć.

AM: Tak mówił. W księgozbiorze ojca były też teksty po grecku i hebrajsku. Stanowiły zaplecze do jego badań historii duchowej ludzkości. To nic dziwnego, że wrócił do źródeł. Nie cenił szczególnie już istniejących starych tłumaczeń Biblii na język polski, uważając je za niewierne, ale też nie dostrzegał zbyt ciekawych przekładów nowoczesnych. Dlatego sam zabrał się za tłumaczenie niektórych tekstów.

BGZ: Czy to zmieniło jego podejście do wiary, obudziło religijność?

AM: To nie było tak, że kiedy zaczął tłumaczyć Biblię, nagle stał się bardziej religijny. On w gruncie rzeczy zawsze był poetą

mistycznym.



Odnowiony dwór Czesława Miłosza w Krasnogrudzie, na Podlasiu, koło Sejn.

BGZ: Niektóre środowiska zarzucają Pana ojcu bycie bardziej Litwinem niż Polakiem.

AM: To smutne wytykanie, że nie był wyłącznie patriotą polskim. Trzeba wziąć pod uwagę, że urodził się jakby w Wielkim Księstwie Litewskim. Dlaczego więc miałby nie kochać też Litwy? Ale przecież był poetą polskim i pisał po polsku. Patriotyzm różni się od nacjonalizmu. Patriotyzm jest na „tak” wobec własnego narodu, a nacjonalizm na „nie” wobec innych. Żaden nacjonalizm nie jest zdrowy. Jak można współżyć z innymi

nacjami, będąc nacjonalistą? To śmieszne zarzuty. Stawiają je ludzie, którzy zapominają, ile milionów ludzi zginęło w XX w. właśnie przez różne nacjonalizmy i nie potrafią się wyrzec tego sposobu myślenia. Ojciec uważał, że musimy współżyć z sąsiadami, stanąć trochę wyżej i pamiętać, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Jeśli nie odrzucimy drobnych, ale też i trudnych, dzielących narody spraw, to nie ma żadnej przyszłości dla ludzi na tej ziemi. Sprytni politycy, aby zdobyć władze, manipulują, przekręcając zdrowy patriotyzm ludzi w paranoje, nacjonalizm i nienawiść. Myślę, że młode pokolenia, które bardziej troszczą się o przyszłość naszych losów na ziemi, powoli odchodzą od tego i nie dadzą się już tak łatwo wkręcić w nacjonalizmy i modne w niektórych środowiskach faszyzmy. Nacjonalistami zostaną wtedy jedynie niereformowalni, starzy ludzie.

BGZ: Co dla Pana ojca było w życiu najważniejsze?

AM: Zawsze powtarzał cytat z Goethego, że najważniejszy jest „Szacunek, szacunek, szacunek". Uważał to za zasadę – mieć szacunek do świata i ludzi. To jest podstawowa prawda naszej religii, dlatego warto to przemyśleć.

BGZ: To ciekawe. Bo wiele osób postrzegało pana Czesława jako człowieka, który czasem ostro, nieprzewidywalnie reagował na ludzi.

AM: Ale to nie znaczy, że nie miał do nich szacunku.

„Gość niedzielny”, 26/2017 r.,

http://gosc.pl/

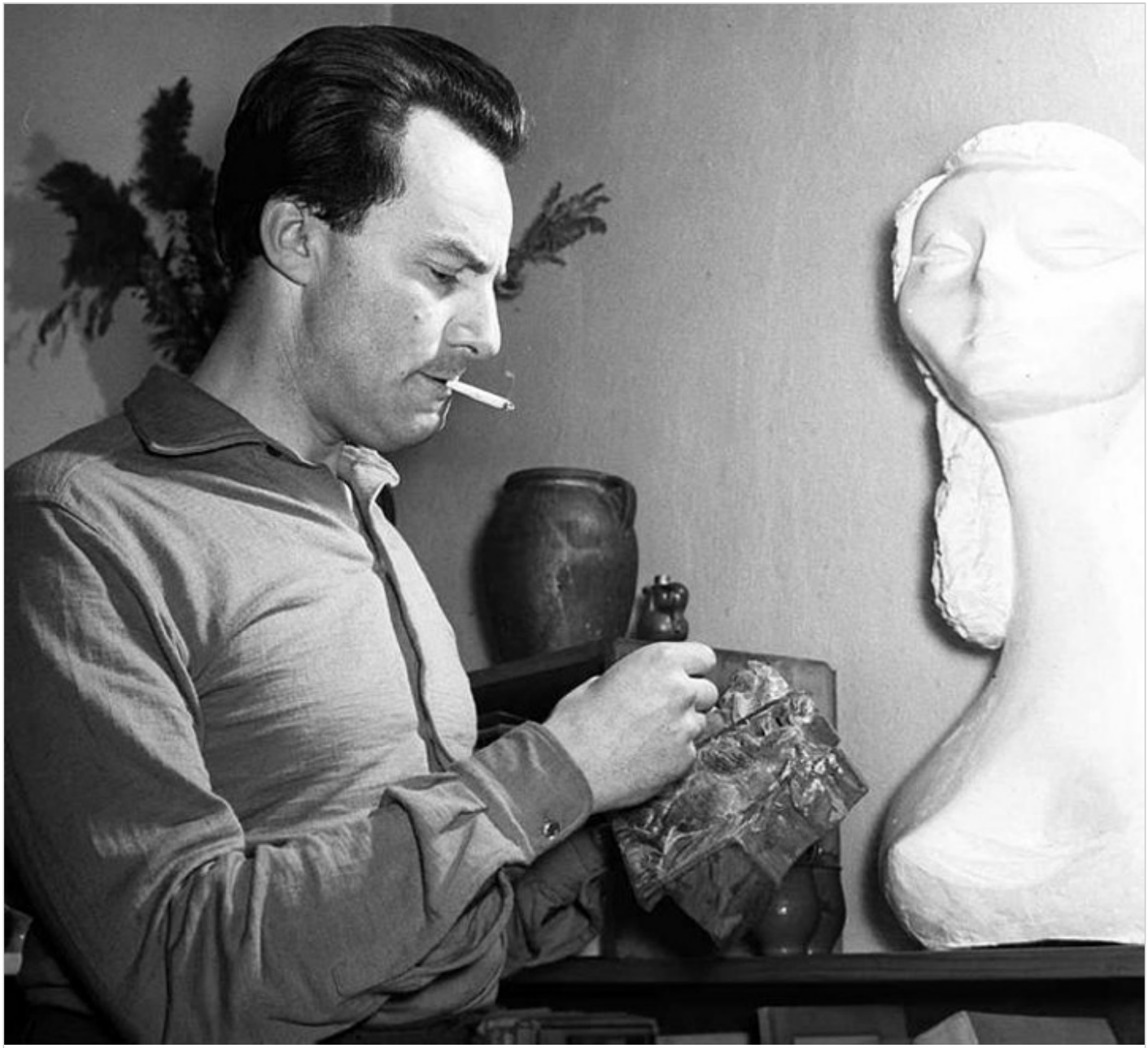
Przeciwko patosowi. Andrzej Munk (1921-1961).

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Andrzej Munk urodził się w Krakowie, ale do dziś nie wiadomo z całą pewnością kiedy, ponieważ w różnych dokumentach on sam podawał różne daty. Przyjmuje się, że był to 16 października 1921 r. W czerwcu 1939 roku ukończył Gimnazjum w Krakowie. W czasie wojny trafił do Warszawy. Walczył w Powstaniu

Warszawskim. Po wojnie pracował w różnych miejscach, jako technik budowlany, robotnik w Monopolu Tytoniowym w Mogile, dozorca kolejki na Kasprowy Wierch. Swoją edukację rozpoczął od studiów na wydziale architektury Politechniki Warszawskiej i prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Zmienił jednak swoje zainteresowania i w 1951 roku ukończył Państwową Wyższą Szkołę Filmową w Łodzi, wydział operatorski, a następnie reżyserski. W latach 1948-52 był członkiem PZPR. W 1952 r. został z niej usunięty za zachowanie „niegodne członka partii”. W latach 1950-55 pracował w Wytwórni Filmów Dokumentalnych, najpierw jako operator Polskiej Kroniki Filmowej, potem jako reżyser filmów dokumentalnych. W 1959 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W latach 1957-61 był wykładowcą w łódzkiej szkole filmowej.

Zginął w wypadku samochodowym, 20 września 1961 r. Od 1965 r. łódzka PWSFTViT przyznaje nagrodę jego imienia dla najlepszego debiutanta roku.



Andrzej Munk, fot. film.org.pl

Tragiczny wypadek zdarzył się pod Łowiczem. Andrzej Munk jechał Fiatem 600 z Krakowa przez Łódź do Warszawy. Podobno był złym, nieuważnym kierowcą, czasami siadał za kierownicą po alkoholu. Ale nie to było przyczyną wypadku. Na skrzyżowaniu w kształcie litery „T” zatrzymał się kierowca Stara 20. Jadł pestki

od słonecznika, nazbierały mu się łupiny, stanął na chwilę, wyrzucił i nie patrząc w bok ruszył dalej. Nie zauważył „malucha” i uderzył w bok od strony kierowcy. Samochód Andrzeja Munka przekoziołkował, reżyser trafił do szpitala w Łowiczu. Był przytomny, rozmawiał z żoną i przyjaciółmi. Nikomu wtedy nie przyszło do głowy, że za kilka godzin nie będzie żył.

Koledzy, przyjaciele i współpracownicy pamiętają go, jako człowieka obdarzonego wyjątkową charyzmą, ale też trudnego w kontaktach, pełnego niepokojów i sprzeczności. Raz prowadził bujne życie towarzyskie, smakował je, delektując się każdą niemal chwilą, bawił się, przebierał np. za własnego brata, którego nie miał, a innym razem wpadał w ciężkie psychiczne zapaści, izolował się, pił przez dwa-trzy tygodnie.

Scenarzysta Jerzy Zawieyski opowiadał potem o współpracy z reżyserem:

> Rozmowy z Munkiem były trudne, jakby się błądziło wśród ciemności. Było tak dlatego, że Munk z wysiłkiem formułował swoje myśli, niepewny ani siebie, ani tematu, który rozwijał. Śmiem twierdzić, że w większym stopniu, niż zdarza się to u każdego artysty, pożerał go demon zwątpienia. Popadał często w depresje, z której wydobywał

> się z trudem. Łamał się w sobie, trapiony przez nadmierną autokrytykę i wyczulone sumienie artystyczne.

Inaczej go pamięta Andrzej Krakowski syn dyrektora zespołu filmowego „Kamera”:

> Był człowiekiem niezwykle spokojnym, ciepłym. Być może przeżycia wojenne o tym zadecydowały, powracające pytanie, „dlaczego właśnie ja przeżyłem – dlaczego akurat ja”. Potrafił usiąść i nagle zamyślić się – odpłynąć. Mówił wolno. Ale potrafił być też energiczny. Był lekko zezowaty, czego nie widać na zdjęciach, szatyn. Kiedy go poznałem, był młody. Jego żona Joanna wyglądała jak Madonna. Miała piękne, długie, ciemne kasztanowe włosy i ascetyczną twarz. Bił od niej niesamowity spokój.



Andrzej Munk, fot. Filmoteka Narodowa.

Andrzej Munk należał do grupy młodych reżyserów tworzących w zespole filmowym KAMERA. W tym zespole powstały pierwsze filmy Andrzeja Wajdy, Jerzego Skolimowskiego, Romana Polańskiego, Wojciecha Hasa, Bohdana Poręby, Jakuba Morgernsterna. Powstały wówczas tak wybitne filmy, jak *Pokolenie*, *Kanał*, *Popiół i diament* Wajdy, *Baza ludzi umarłych* (wg opowiadania Marka Hłaski) Petelskiego czy *Nóż w wodzie* Polańskiego. To powojenne pokolenie młodych reżyserów wykreowało nurt w polskim kinie, który z całą siłą ujawnił się dopiero po 1956 r. Wojenne rozrachunki z punktu widzenia

jednostki, różne motywy działania i różne racje to główna tematyka filmowa tego okresu. Podejmowanie polemiki z mitem bohaterstwa, to rys charakterystyczny nowego polskiego kina.

> Filmowcy wtedy byli małą, bardzo ekskluzywną grupą ludzi – wspomina Andrzej Krakowski. – Każdy czuł się półbogiem, nawet jak był asystentem reżysera. Tego uczono chyba w szkole filmowej. Każdy z nich miał poczucie misji, bo było to pokolenie, które przeżyło wojnę. Ci ludzie przeszli straszliwe zawirowania. Być może dlatego ich poszukiwania twórcze były dużo głębsze i prawdziwsze niż ich następców. Poczucie misji, jaką mieli do spełnienia, było na pewno dużo silniejsze niż wśród późniejszego pokolenia, które zrobiło się szalenie komercyjne. W gruncie rzeczy dzisiaj liczą się tylko pieniądze. Ocena filmu jest wyłącznie oparta na tym, ile zarobił. Lata formowania się pod okupacją, ukrywania się, udawania kogoś innego, życia cudzym życiem, to musiało szalenie zaważyć na nich wszystkich.

Andrzej Munk na początku swojej kariery realizował fabularyzowane reportaże. (*Niedzielny poranek*, 1955, nagrody w Edynburgu i Mannheim. *Spacerek staromiejski*, 1958, nagrody w Wenecji i Oberhausen i in.). W 1955 r. powstał pierwszy film fabularny “Błękitny krzyż” (nagrody w Wenecji i Trento), w 1957 r. “Człowiek na torze” (nagroda w Karlowych Warach, Syrena

Warszawska), w 1958 r. “Eroica” (Grand Prix i Nagroda FIPRESCI w Mar del Plata, Syrena Warszawska), w 1960 r. “Zezowate szczęście”, w 1961 r. nie ukończona “Pasażerka” (nagroda FIPRESCI w Cannes, Nagroda Stowarzyszenia Dziennikarzy Włoskich w Wenecji, Syrena Warszawska).

Reżyser w epoce, w której przyszło mu żyć i tworzyć, każdy wycinek historii i każde ludzkie działanie poddawał osądowi, patrzył na elementy filmowej fabuły z różnych punktów widzenia. Stąd dramaturgię jego filmów określono dramaturgią sądowej rozprawy. Zderzenie odmiennych wersji tych samych wydarzeń, różne sposoby pojmowania heroizmu, łączenie komizmu i tragizmu, łamanie różnych konwencji, poddawanie bohaterów różnego rodzaju próbom , to stałe elementy jego filmów.

> Moim zdaniem – pisał w roku 1959 – dramaturgia kina współczesnego zmierzać winna w kierunku pogłębiania tematu dzieła, nasycania go jednostkowymi obserwacjami, tak by stworzone w ten sposób wartości intelektualne mogły zastąpić reguły kompozycyjne dramaturgii klasycznej.

Na gruncie polskiego kina pełnego symboliki i metafor, był to program nowatorski. W filmach Munka nie ornamentyka lecz sama filmowa struktura odgrywała największą rolę. Jego filmowy

język był niezwykle oszczędny i powściągliwy w pokazywaniu emocji. Najczęściej posługiwał się długimi ujęciami i stosował wielopłaszczyznową narrację. Unikał symboli. Twierdził, że nie chce manipulować uczuciami widowni, tylko chce pozostawić jej wolność wyboru. W 1959 roku napisał: "Jeśli film nie pozostawi śladu w umyśle, jest dziełem bezwartościowym".

W tych kilku filmach, które zrealizował widać było jego rozwój, dostrzeganie ciągle nowych elementów rzeczywistości. Przerwanej "Pasażerki" nikt nie chciał dokończyć, obawiano się, że nie uda się odtworzyć tego niepowtarzalnego, niedopowiedzianego, oszczędnego w środkach klimatu.

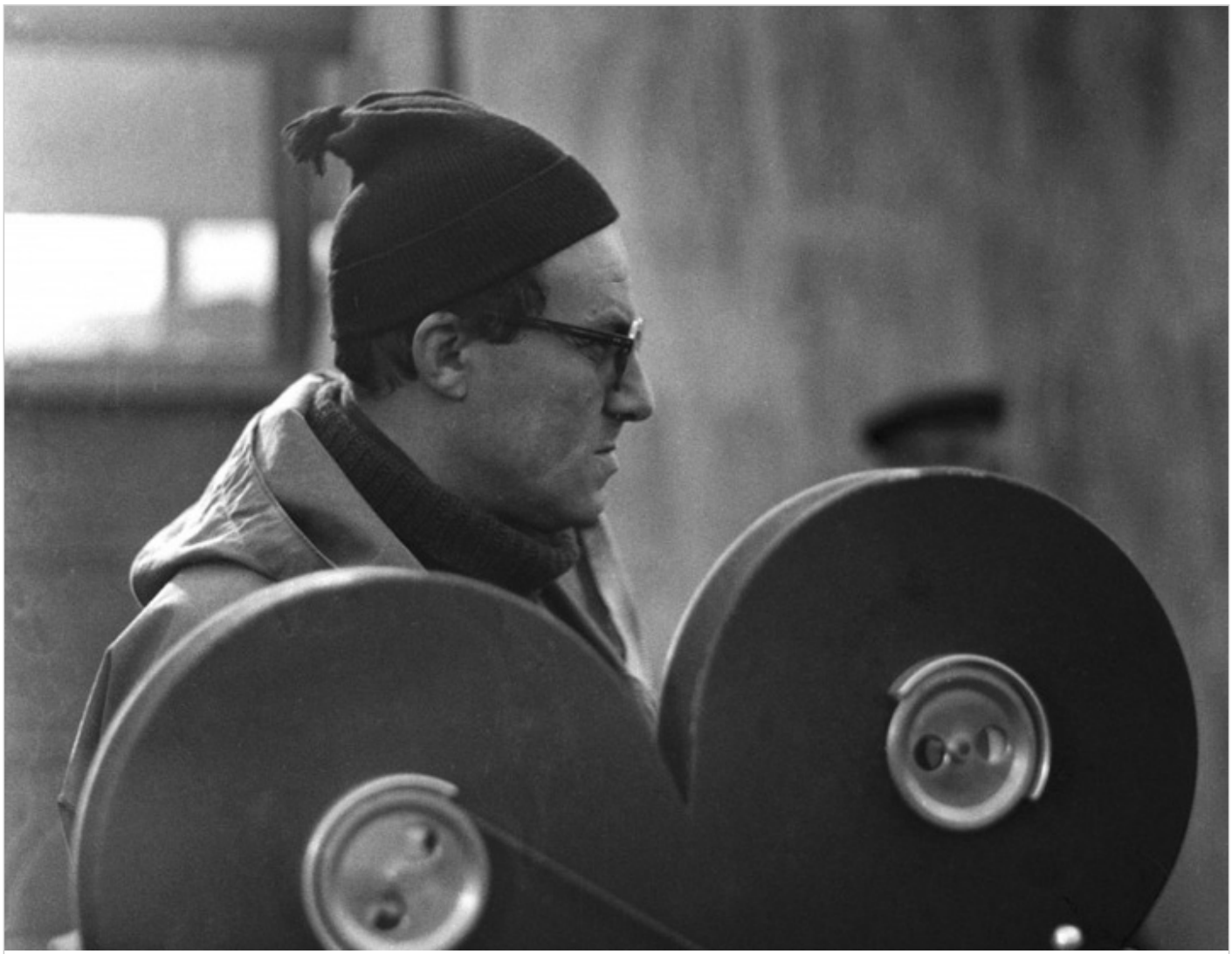
> Parę osób się za dokończenie zabierało – wspomina Andrzej Krakowski. – Najpierw Andrzej Brzozowski, który był drugim reżyserem, ale minister się nie zgodził, bo Andrzej nie miał debiutu. Potem za *Pasażerkę* wziął się Wajda, ale zrezygnował. Następnie miał ją robić Skolimowski; też nie. Odbyły się rozmowy z Konwickim – też nie. I w końcu film ukończył Witek Lesiewicz – jedyna osoba, która powinna to zrobić, najbliższy przyjaciel. On to zrobił praktycznie tak, jakby Andrzej to zrobił. Jest dużo stop-klatek – zatrzymanych zdjęć w tym filmie, bo materiał został niemiłosiernie posiekany przez tych, którzy mieli go skończyć. Każdy, kto się zabierał za pracę, robił nową wersję, przycinał, przycinał,

> aż nie było już z czego montować.
>
> *Pasażerka* była bardzo trudnym filmem do zrealizowania – wspomina dalej syn dyrektora zespołu "Kamera" . – Trudne do załatwienia było to, że akcja dzieje się na statku. Ekipa musiała popłynąć Batorym – do Leningradu. Trzeba było wszystkich zakwaterować, dostać pozwolenia na wyjazd i jeszcze Rosjan przekonać, żeby ich wpuścili. A Rosjanie bali się kamer! Pamiętajmy, że to był początek lat sześćdziesiątych.
>
> Mój ojciec miał bogatą przeszłość polityczną, do filmu przyszedł po reformie polskiej kinematografii w 1957 roku, kiedy wyszedł z rządu. Ale wcześniej przez parę miesięcy siedział w celi z Gomułką. I teraz był jedynym polskim producentem, który mógł do Gomułki zadzwonić i powiedzieć: „Wiesław, ja chcę, żeby ten film przepchnąć".

Filmy Andrzeja Munka przeszły do historii polskiej kinematografii, reżyser nakreślił w nich inne niż dotychczasowe spojrzenie na wojenną i powojenną rzeczywistość, podjął się dyskusji na temat wartości, człowieczeństwa, zrewidował narodowe symbole. Rzucił na szalę życie i piękno idei. Mimo niewielkiego dorobku filmowego, przerwanego tragicznym wypadkiem, krytycy filmowi zaliczają go do grona wybitnych

reżyserów swojej epoki, współtworzącego powojenne europejskie kino.

–



Andrzej Munk, fot. Studio Filmowe KADR.

FILMY:

“Błękitny krzyż” to film paradokumentalny, rekonstruujący

akcję GOPR, niosącego pomoc partyzantom podczas wojny. Na początku filmu pojawia się tekst: „Historia tej wyprawy jest historią prawdziwą. Drobne zmiany, jakie autorzy wprowadzili w tok opowiadania, nie zmieniają w niczym istotnym jego biegu ani sensu. Wśród postaci występujących w filmie spotykamy autentycznych bohaterów owego zdarzenia. Im właśnie autorzy poświęcają ten film – górskim partyzantom lat wojny i Ratownikom Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego – ludziom Błękitnego Krzyża”.

W filmie wystąpili uczestnicy historycznej akcji. Zimą 1945 roku do ukrytego w górach partyzanckiego szpitala przedostają się ratownicy zakopiańskiego pogotowia górskiego i dokonują bohaterskiego wyczynu przeniesienia rannych i chorych ludzi przez dwa łańcuchy górskie i przez linie niemieckich posterunków.

”**Człowiek na torze”** to dramat psychologiczny. Jest historią doświadczonego maszynisty, usuniętego z pracy pod urojonym zarzutem sabotowania nowych metod pracy. Komisja ma zbadać przyczyny tragicznego wypadku: pod koła pociągu dostał się stary maszynista Orzechowski. Najpierw zeznaje zawiadowca stacji, Tuszka – człowiek bezwzględny, który starał się wprowadzić nowe metody pracy i drastyczną oszczędność paliwa. Orzechowski nie chciał się temu podporządkować. W końcu zawiadowca zwolnił Orzechowskiego z pracy, teraz zaś

sugeruje, że stary przedwojenny maszynista był wrogiem i sabotażystą. Zgasił światło w semaforze, bo chciał wykoleić pociąg. Zeznania młodego Zapory, który prowadził ów pociąg, a uprzednio był pomocnikiem Orzechowskiego, zaprzeczają temu. Orzechowski był bardzo wymagającym, trudnym we współżyciu, ale świetnym fachowcem i uczciwym człowiekiem. Okazuje się jednak, że światło zgasło, ponieważ dróżnik Sałata -pijak i krętacz – nie nalał nafty do jednej z lamp. Orzechowski, który to zauważył, a wiedział, że na torze trwają roboty, nie widząc innego wyjścia rzucił się pod koła, by ratować załogę i pasażerów.

“Eroica. Symfonia bohaterska w dwóch częściach” jest filmem o mitologizowaniu wojennej przeszłości. Składa się z dwóch luźno ze sobą związanych tematycznie nowel. Część pierwsza opowiada o warszawskim cwaniaku Dzidziusiu, który przypadkowo wciągnięty w Powstanie Warszawskie zdobywa się na czyn bohaterski, choć właściwie niepotrzebny. Akcja drugiego opowiadania rozgrywa się w niemieckim oflagu i po raz pierwszy przedstawiono w niej życie polskich oficerów w obozie jenieckim w czasie ostatniej wojny. Do legendy urasta tu ucieczka por. Zawistowskiego. Tylko najbardziej wtajemniczeni wiedzą, że cały czas jest on w obozie – ukryty w przewodzie wentylacyjnym. Mimo starań i opieki kolegów bohater umiera – z zimna i samotności. A wszystko po to, by zachować legendę, która podtrzymywała na duchu wszystkich stłoczonych w obozie

żołnierzy.

Munk zapożyczył tytuł filmu od III Symfonii Es-dur Ludwiga van Beethovena. Beethovenowska „Eroica" składa się z trzech części. Pierwotnie Munk swoją filmową „Eroicę" również chciał zbudować z trzech, luźno ze sobą związanych części. Pierwszej części, już po zmontowaniu, Munk nie włączył do całości filmu. Uznał ją za nieudaną artystycznie. Ostatecznie więc podtytuł „Eroiki" brzmi „Symfonia bohaterska w dwóch częściach".

"Zezowate szczęście" to pełna ironii komedia.

„…powoli zaczynam rozumieć impulsy, które kierowały moim postępowaniem. Otóż chyba zawsze usiłowałem, całkiem nieświadomie, przystroić się w szaty uznanego przez opinię bohatera danego historycznego okresu. W życiu dziecka był nim harcerz, później podchorąży, wreszcie konspirator… Wszystkie te etapy przebiegłem w bezowocnej pogoni za życiowym powodzeniem. Czy mogłem przypuszczać, że wszędzie czeka mnie nieuchronna klęska?…" – tak podsumował swoje pechowe życie główny bohater opowiadania Jerzego Stefana Stawińskiego „Sześć wcieleń Jana Piszczyka". Nowela ta stała się kanwą scenariusza do „Zezowatego szczęścia". Film ten jest udanym połączeniem różnych stylów i poetyk. Krytycy znaleźli w dziele Munka zjadliwą ironię, groteskę, elementy czysto komediowe i dramatyczne oraz cechy powiastki filozoficznej. W warstwie

fabularnej film Munka stanowi studium postawy obecnej w każdej epoce i w każdym społeczeństwie. „Zezowate szczęście" opowiada w groteskowo – karykaturalnym ujęciu losy pechowca, który – w różnych warunkach na przestrzeni dwudziestu lat – usiłuje przypodobać się aktualnym władzom. Wszelkie te próby „dobrze widzianych" metamorfoz kończą się fiaskiem: Piszczyk pozostaje antybohaterem – kolejnych bezkrytycznych „przemian" dokonuje zawsze za późno. Piszczyk chce za wszelką cenę dostosować się do wymagań aktualnej sytuacji politycznej, lecz z różnych powodów mu się to nie udaje. Pragnie być wzorowym harcerzem, ale kompromituje się na defiladzie. We wrześniu 1939 roku przymierza wymarzony mundur podchorążego i w nim trafia do oflagu, gdzie po pewnym czasie zostaje zdemaskowany i uznany za szpiega. Podobny los czeka go w organizacji podziemnej. Po wojnie robi oszałamiającą karierę, wcielając w życie, dosłownie i bezmyślnie, aktualne hasła i zarządzenia. Jest mistrzem sprawozdawczości, wzorem służalczego biurokraty. Ale antypaństwowe zdanie wypisane w ubikacji jego charakterem pisma strąca go z piedestału. Piszczyk trafia do więzienia, z którego, doświadczony boleśnie i zrezygnowany, nie chce zresztą wyjść na wolność.

"Pasażerka" – to psychologiczny film wojenny. Akcja filmu rozgrywa się na dwóch płaszczyznach czasowych: współcześnie i – w obszernych partiach retrospektywnych – podczas wojny, w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Śmierć reżysera

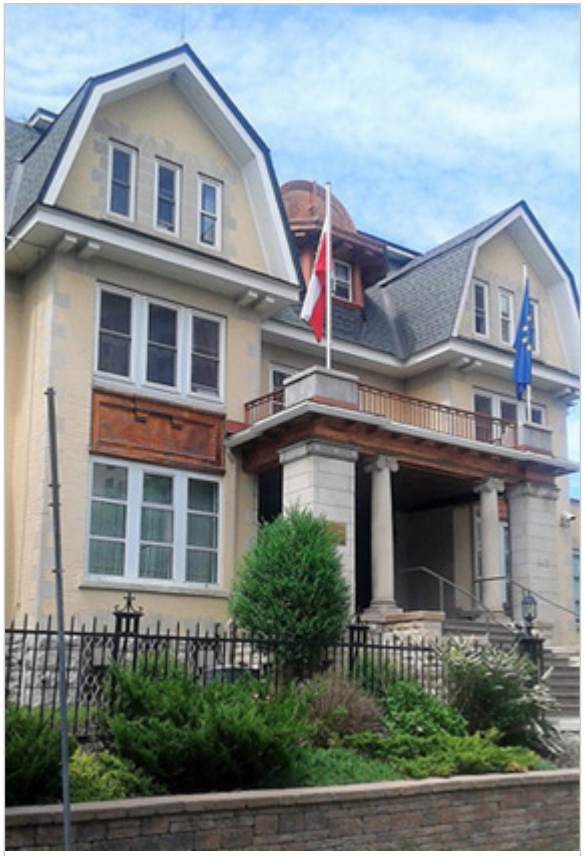
przerwała zdjęcia. Munk zdążył zrealizować tylko tę drugą, retrospektywną część, a właściwie zbiór scen, które miały być przeplecione z partiami rozgrywającymi się współcześnie na pokładzie transatlantyckiego statku pasażerskiego. Po śmierci Munka żaden z jego kolegów nie zdecydował się dokończyć za niego dzieła. Podjęto natomiast próbę scalenia, powiązania gotowych już fragmentów w jednorodną całość. Zadanie to wykonał bliski współpracownik Munka, Witold Lesiewicz. Komentarz objaśniający zamysł całości przygotował Wiktor Woroszylski. Film wszedł na ekrany w 1963 r., budząc duże zainteresowanie. Do dziś „Pasażerka" pozostaje najbardziej chyba znanym poza granicami kraju i najwyżej cenionym filmem tego twórcy. Przedstawiony w filmie świat obozów koncentracyjnych, a co za tym idzie spojrzenie na faszyzm, jest w całości dziełem Munka: zarysowany oszczędnymi środkami, pozbawiony scen szczególnie jaskrawych, szokujących okrucieństwem. Reżyser przypisuje zbrodnię raczej systemowi hitlerowskiemu niż intencjom jednostek. Dziwny i niejednoznaczny w jego ujęciu jest także związek między bohaterkami – esesmanką Lizą i jej krnąbrną pupilką Martą. Wyjaśnienie mogła zapewne przynieść część współczesna: konfrontacja kata i ofiary po latach, ale ta część nie zdążyła już powstać. W tłumie turystów zapełniających pokład transatlantyckiego statku znajduje się niemieckie małżeństwo, Walter i Liza. Oboje niewiele wiedzą o swej przeszłości, ale tworzą harmonijny związek. W jednym z portów, do których

zawijają podczas rejsu, na statek wsiada kobieta, która przypomina Lizie kogoś, kogo poznała przed laty, służąc w kobiecych formacjach SS w Oświęcimiu. Falą wspomnień wraca do Lizy obozowa przeszłość, a wraz z nią pamięć o jednej z więźniarek, na której Liza wypróbowywała esesmańskie metody „wychowawcze". Ale Marta, bo tak nazywała się więźniarka, nie dała się złamać. Wydawało się, że zginęła.

"**Ostatnie zdjęcie"** Andrzeja Brzozowskiego to film o realizacji oświęcimskich obrazów "Pasażerki".

Polscy artyści w Ottawie z okazji 150-lecia Kanady

Katarzyna Szrodt



Ambasada Rzeczpospolitej Polskiej w Ottawie.

W związku z obchodami 150-lecia Kanady, ambasada RP w Ottawie zaprosiła polskich malarzy mieszkających w Montrealu, zrzeszonych w Polish Artists Association of Canada (PAAC) i artystów z Ottawy, do wzięcia udziału w wystawie „Poland for Canada with Love. Polish Canadian Artists Exhibition”. Było to jedno z wielu wydarzeń artystyczno-wystawienniczych przygotowanych przez ambasadę RP, ku czci Kanady. Ze strony ambasady organizacją zajęła się Daria Podemska, ja zaś koordynowałam sprawy montrealskie.

13 czerwca w jasnym, przestronnym wnętrzu International Pavilion, oryginalnie łączącym szkło, drewno i cegłę, odbył się wernisaż wystawy, w której wzięło w sumie udział szesnastu artystów malarzy. Z Montrealu byli to: Joanna Abrahamowicz, Jan Delikat, Dorota Dyląg, Joanna Chełkowska, Piotr Królikowski, Janusz Migacz, Mariola Nykiel, Joanna Pienkowski, Anrzej Andre Pijet, Mira Reiss, Jolanta i Zbigniew Sokalscy.

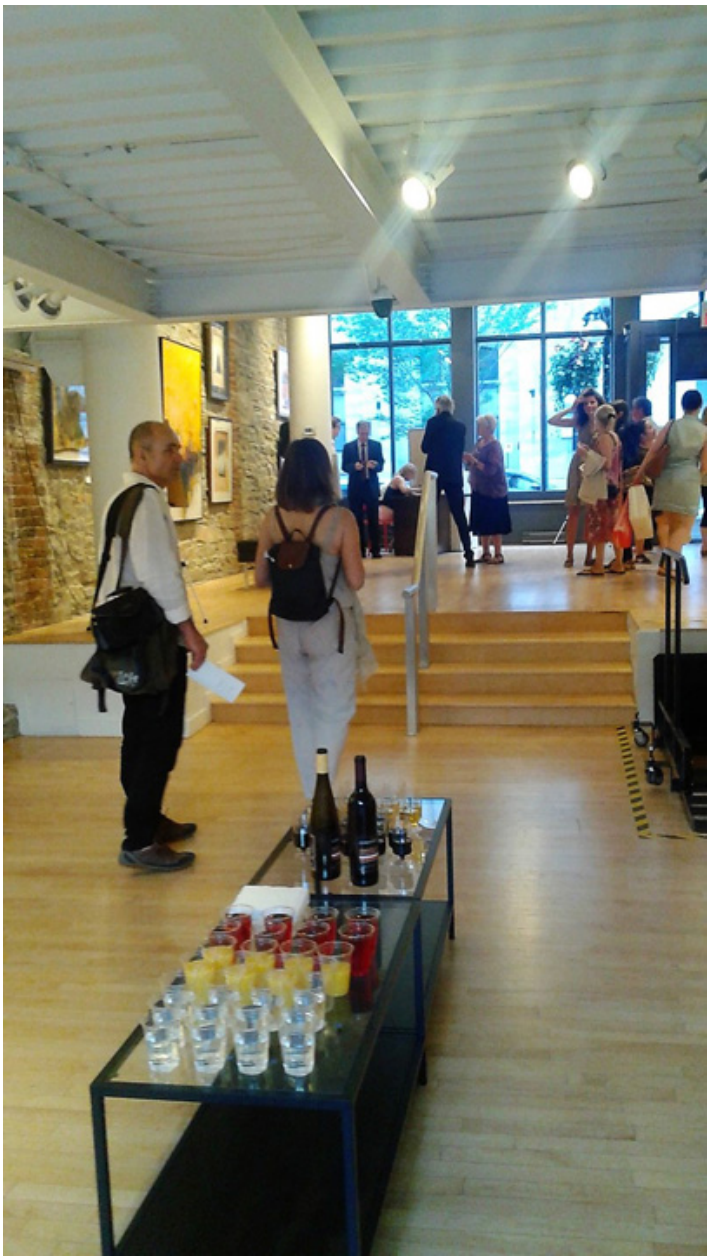
Ze strony mieszkających w Ottawie Polaków zobaczyliśmy prace: Anny Luczak-Romaszewskiej, Wojciecha Kulikowskiego, Antoniego Romaszewskigo, Darii Podemskiej i Dominika Sokolowskiego. Wystawę cechowała różnorodność tematów, gatunków i technik: oleje, akwarele, rysunek, od abstrakcji, przez impresjonistyczny pejzaż miejski, po surrealizm i ekspresjonizm. Artyści na różne sposoby interpretują rzeczywistość, są na nią wrażliwi, dokonują jej syntezy zapraszając odbiorcę do dialogu. Prace nieżyjącego już Antoniego Romaszewskiego to przekaz intelektualny wymagający od widza interpretacji znaków i symboli. Jolanta Sokalska w sposób mistrzowski tworzy swoje szklane obrazy łącząc szkło z metalem, drewnem, tkaniną. Surrealistyczne malarstwo Miry Reiss opowiada zawsze jakieś historie wciągając nas do toczących się na obrazie wydarzeń, podobnie jak twórczość Doroty Dyląg głęboko ekspresjonistyczna i magiczna zarazem. Nad każdym z obrazów należałoby się pochylić i „wsłuchać”.

Najważniejszym wydaje się fakt, że znów polscy artyści tworzący w Kanadzie mieli szansę spotkać się na wystawie zbiorowej, skonfrontować swoje doświadczenia, porozmawiać, przygotować się do następnego wspólnego pokazu. Pod koniec października 2017 roku, w centrum polonijnym w Jolicoeur w Montrealu PAAC planuje dużą wystawę. I teraz to jest najważniejsze.

Galeria zdjęć



The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt (z prawej) przed The International Pavilion w Ottawie, gdzie miała miejsce wystawa, fot, arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Katarzyna Szrodt podczas otwarcia wystawy pac polskich artystów w Ottawie,

fot. arch. autorki.



Wystawa prac polskich artystów w Ottawie, fot. arch. autorki,



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch. autorki.



Prace polskich artystów na wystawie w Ottawie, fot. arch. autorki.